ŚWIAT I FINANSE.

WINCENTY HR. ŁOŚ.

ZE STARŻÓW PANI APPELSTEIN

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

w dwóch tomach.

Tom II.

WARSZAWA.
Nakładem księgarni G. Centnerszwera.
143. Marszałkowska 143.
1897.

Ze Starżów pani Appelstein.

Tegoż samego autora

wyszły następujące dzieła:

			Rs	kop.
Dzisiejsze małżeństwa	1	tom	1	80
Jeszcze małżeństwa	1	„	1	80
Wilma	1	„	1	80
Hrabia-Starosta	2	„	3	60
Jędrzek	1	„	1	20
Linoskoczka	1	„	2	40
Wczorajsi, Serya I	1	„	1	50
Wczorajsi, Serya II, 1896	1	„	1	50
Nokturn Szopena	1	„	1	20
Tajemnica	1	„	1	20
Z różnych pułków	2	„	2	40
Zięciowie domu Kohn et C-ie II wydanie	2	„	3	—
Nera Polacca, 1895	1	„	2	—
Swąt, 1895	1	„	1	80
Hrabina, 1895	1	„	2	—
Aktorka, 1896	1	„	2	—
High-life,-Doktor, 1896	1	„	2	—
Przy naszych dworach, 1895	1	„	2	—
Rezydenci, 1896	1	„	2	—
Ostatni, 1896	1	„	2	—
Historyczne To i Owo 1896	1	„	2	—
Niedyskrecya 1896	1	„	2	—
Panna Starzyńska 1896	1	„	2	—
Odrębna istota 1896	1	„	2	—

POD PRASĄ:

Kaprys hrabianki.
Chłop.
Portret.
Parafianka.

Skład główny u G. Centnerszwera,

Warszawa, Marszałkowska 143.

WINCENTY HR. ŁOS.

ZE STARŻÓW

PANI APPELSTEIN

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

w dwóch tomach.

Tom II.

WARSZAWA.
Nakładem księgarni G. Centnerszwera.
143. Marszałkowska 143.
1897.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава 12 Марта 1896 года.

Druk Józefa Sikorskiego. — Warecka 14.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Obiad naturalnie był wyborny, a Irenie sprawiał prawdziwą przyjemność, bo zgromadził dokoła jej stołu samych przyjaciół i rodzinę. Bywalski, książę Oleśnicki, Jesiołowscy, hrabia Mikołaj. Brakło nawet Jakóba, który niemiłe Irenie sprawiał wrażenie i który też rzadko bywał jej gościem— o ile mógł najrzadziej. Próżno pani Appelstein usiłowała wznieść się na wyżyny wyższości: sama fizyognomia Jakóba, wyrazista, krzycząca o swem pochodzeniu, choć inteligentna i rozumna, raziła ją niewypowiedzianie. Mogła się przyzwyczaić do wszystkiego, ale do pana Jakóba, nie.

Po obiedzie, podczas którego książę zabawiał Irenę, a hrabia Mikołaj panią Jesiołowską, rozproszyło się towarzystwo w apartamencie. Irena pospieszy-

ła do swej córeczki, mężczyźni palili cygara, probując likierów w fumoirze, naśladującym wschodnią sułtańską komnatę. Została w salonie sama pani Ewelina, do której wkrótce nadszedł Bywalski.

— Wiem że pani znosisz zapach cygara, a Bernard pozwolił mi napuścić nikotyną te gobeliny. To je uchroni przed molami. Pani Ireny niema?

— Niema. Poszła do małej...

— To bardzo dobrze. Właściwie czycham na pogadankę z panią *â deux*...

Tu usiadł przy młodej kobiecie i zaczął:

— Przed samym obiadem Bernard mi się żalił, widocznie przez coś czy kogoś na recepcyi zbuntowany: żalił mi się na rodzinę pani Ireny, na matkę, na bratowę...

— Cóż takiego?

— No! Przyznam się pani... cztery lata nie być u córki... hm... Nie pokazywać się u siostry, tylko po pieniądze... hm...

Pani Ewelina sponsowiała.

— Dziwnie się składają okoliczności, bo o tem przed samym obiadem rozmawiałam z Ireną, a zamierzałam pomówić z panem.

— Jeśli państwo mogliście z Galicyi przybyć tutaj, by powinszować pani Irenie... by... to matka, Edwardowie, mieszkający o cztery godzin drogi. To przecież jest...

— Rzeczywiście. Masz pan zupełną słuszność.

Zmieszała się, namyśliła i nagle zaczęła:

— Muszę z panem mówić więcej jak z przyjacielem Starżów, aniżeli Ireny. *On lave son linge sale en famille.* Ale pan liczysz się do rodziny, nieprawdaż?

Wyciągnęła rękę, którą Bywalski ucałował.

— Pamiętasz pan, jak byłam przeciwną małżeństwu Edwarda z Maryą?

— Pamiętam.

— Otóż ona to wniosła ten nieuczciwy pierwiastek w naszą rodzinę. Ona to nie pozwala mamie być tutaj, ona to wstrzymuje Edwarda...

Bywalski tak wielkie oczy otworzył, iż Ewelina, nie miała innego wyjścia, tylko się tłomaczyć:

— Znajduje, iżby było kompromitującem dla niej znajdować się w tym salonie, w którym tłumy wyboru nietylko towarzystwa lecz ludzi, składają Irenie dowody szacunku i sympatyi. Znajduje, iżby mama kompromitowałaby jej interesa, zamieszkując w pałacu Appelsteina. Znasz pan mamę? zawsze słaba, dająca się powodować, ceniąca spokój, uprzedzona przeciw finansom, a dziś buntowana opanowana przez synową, a nieco zdziecinniała.

— To zdziecinnienie matki pani, *c'est une farce*, chyba pani Maryi, którą mi pani przedstawiasz w świetle...

— Nie panie, to zdziecinnienie jest dziś oryginalne; polega ona na tem, że mama mówi co myśli, bez zastanowienia gdzie i do kogo. To usposobienie mamy, datujące w zarodku od dnia ślubu Ireny, powiem panu szczerze, było przyczyną, dla której nie mięszałam

się w ten stosunek między nią a Ireną. Dziś widząc jak ona na tem cierpi, słysząc że i Bernard... Niech się Marya gniewa, to mi wszystko jedno... Cóż ryzykuję, że mama tu powie coś nietaktownego, *on pardonne tout â une mère.*

— Nie mogę ochłonąć — przerwał Bywalski. — Jestem wyrzucony z toru! Pozwalać, by mąż brał pieniądze od siostry, panoszyć się za te pieniądze... a...

— Ah! nie mów pan, nie mów! — przerwała Ewelina prawie z przestrachem. — Truchleję, by Irena się nie domyśliła... Cóż za szczęście, że ona ma teraz cel w życiu, pociechę... że... Zawsze tak się nią martwiłam. Dziś będę spokojniejszą.

— A co do tych stosunków z matką?

— Napiszę dzisiaj, napiszę poprostu. Napiszę do mamy i do Edwarda.

— Zróbże to pani. Nie chodzi mi nawet tyle o panią Irenę, ile o Bernarda. Niechże nie ma prawa pomyśleć, że szlachta polska...

Nie dokończył i rzekł po chwili.

— Gdybyś pani wiedziała, z jaką dżentelmenią, z jaką dużą dozą serca i przywiązania do waszej rodziny, dziś znów pożyczył Edwardowi trzydzieści tysięcy rubli!

Ewlina wytrzeszczyła zdumione oczy.

— Jakto! Więc Edward znów?... Ja nic nie wiedziałam...

— Myślałem, że pani Irena...

— Irena? Ona się tylko dzieli ze mną przyjemnościami...

Bywalski zdał jej więc pokrótce sprawę ze swej porannej missyi, co głęboko zasmuciło panią Jesiołowską.

— Biedna Irena! — szepnęła tylko.

Gdy jej jednakże Bywalski, puściwszy się raz w niebezpieczny wir zwierzeń i szczerości, przedstawiał swoje obawy co do położenia materyalnego Appelsteinów, gdy jej udzielał tego, co mu był przed kilku godzinami sam Bernard powierzył, Ewelina słuchała go w osłupieniu. Nie mogło jej się to w głowie pomieścić, by Appelsteiny mogli za dużo wydawać, ani też nie mogła się zoryentować w konsekwencyach tegoż.

— Przeraziłeś mnie pan do niewypowiedzianego stopnia — rzekła. — Co Irenę ratuje, to życie właśnie. Gdyby nie ono, ona musiałaby być nieszczęśliwą.

— A więc, trzeba się starać by ono trwać mogło.

-- Czyż to od niej zależy?

— *Madame Bernard* bardzo dużo wydaje...

— Czy pan sądzisz, że z własnej intencyi? Wydaje, bo jej wydawać każą, bo wydawać musi. Czy pan sądzi, iżby nie wolała spędzić kilku tygodni w Zabużu, niż te kosztowne podróże zagranicę?...

— Nie, pani! Bernard jest tak zakochany, iż robił by coby tylko zechciała. Ale pani Irena zawsze

przepadała za światem. Dziś stał się on potrzebą jej natury... On ją...

— Może ogłusza... — podchwyciła pani Jesiołowska. — Gdyby pan znał ją tak, jak ja, toby nieraz na jej obliczu podchwycił wyraz zdradzający, że ta kobieta wciąż musi rozpędzać swe myśli, że otoczona tym zbytkiem, w tym wirze niedającym czasu, zdawałoby się, na nic, nie może się opędzić myślom niewesołym...

Byliby rozmawiali dłużej, ale Luccani się zjawił, akby na czele jakiej wojowniczej wyprawy, wyprzedzając kilku lokai niosących ogromne kije z zapalonemi u końców stoczkami.

— Co to? — zapytała kobieta.

— Oświetlamy salony.

— Jakto? Więc znów będą goście?

— *Mais absolument Madame.*

Zaczęli zapalać kinkiety i kandelabry te tylko które płonęły na małych przyjęciach w pałacu Appelsteinów.

Zaledwie to w kilku salonach dopełnione zostało gdy się zjawiła Irena, przepyszna w sukni żółtej morowej z ogonem z zielonego atłasu, w naszyjniku z szafirów z olbrzymiemi czarnemi perłami w uszach.

— Ah! — zawołała widząc Ewelinę jeszcze w obiadowym stroju—zapomniałam ci powiedzieć, że będzie kilka osób w wieczór...

Ewelina wybuchnęła śmiechem.

— Myśmy myśleli — zawołała zwracając się do

Bywalskiego — że ona oddaje się uciechom rodzinnym; wyobrażaliśmy sobie, że poruszasz nogą kołyskę i nucisz Leontynie usypiającą piosnkę. A ona się stroiła.

— Przepraszam — przerwała z dumą Irena — jedno i drugie załatwiłam. Odgadliście najzupełniej; podczas gdy mnie czesano, kołysałam Lulu a gdy mnie strojono, śpiewałam... Śpi już wybornie... Idźże się ubierać. Włóż twą suknię lila...

— Toaleta twoja każe przypuszczać, że to będzie duży wieczór?

— Oh! nie! Bernard sobie życzy widzieć moje nowe paryskie suknie, by wiedzieć jakie robią wrażenie i gdzie ich użyć. On to wymyślił dzisiejszy wieczór improwizowany... Będzie bardzo mało osób... Paryska, która się wprosiła; Paryski, któregom doprosiła...

— A więc — wtrącił Bywalski — odgrywasz tu pani brzydką rolę. Ten paryski romans jest dzisiaj skandalem dnia. *Vous le protegez?*

Irena uśmiechnęła się z dobrocią.

— Nie proteguję i nie potępiam... nic! — dodała.

— Dalej? — szepnęła Ewelina.

— Ostoja, którego tak lubię i pani Tytusowa.

— Dalej?

— Nikt... Ale!... Korońscy... *c'est fini...*

Bywalski włożył monokel, gdy Irena wymieniła hrabiego Karola. Czyżby rzeczywiście Appelstein

w swych przypuszczeniach coś wąchał? coś, coby miało podstawę?

— To dobrze — szepnął — dobrałaś pani doskonale. Lewicz dla Kirskiej, Paryscy dla siebie, dla pani Eweliny Mikołaj... Ale dla mnie?

— Ja!

— *A la bonheur*—zawołał z tym wyrazem, który przybierał, gdy mu się udawał dowcip, co mu się zresztą często trafiało, nie siłą jego rozumu tylko siłą obycia światowego — w takim razie Korońscy dla siebie. To się pani nie udało.

Ewelina się roześmiała i nie widziała lekkiego rumieńca, który oblał bladą, marmurową twarz Ireny. Ale go widział przez monokl Bywalski.

To też gdy go obie kobiety opuściły, jedna by się ubierać, druga by rzucić ostatnie *coup d'oeil* na apartament, służbę i bufet, przeszedł do fumoiru, gdzie już nie było nikogo, zapalił egipskiego papiesosa z wyzłoconą na nim piramidą i szepnął:

— Kobiety! hm... kobiety! Śmiałem się z Bernarda rano... a kto wie...

Rzucił się na fotel i zaczął przebiegać w myśli wszystko, co usłyszał w ciągu dnia.

Rzeczywiście dowiedział się wiele nowych i nieciekawych rzeczy. Starża doił Appelsteinów, Bernarda trawiła zazdrość, Jakób brał w firmie górę. Pani Marya puszczała niesłychane fimfy. Oleśnicki, który powinien był być od tygodnia w Petersburgu, siedział w małych Tuilleryach pani Bernard, a Irena

między zaproszonymi gośćmi improwizowanego wieczoru, na ostatniem miejscu wymieniła Korońskich, których razem prosiła.

— Ha, ha, ha... ha, ha, ha! Ten świat był zabawny, żeby tylko patrzeć i słuchać... A czego on się jeszcze miał dowiedzieć?

Wtem wszedł Bernard rozpromieniony.

— Czy ty uważasz, *quelle excellènte maitresse de maison* ta Irena... Już ubrana, już wszystko zadysponowała. Spostrzegła, że Luccani zapomniał zapalić jednej świecy w wielkim żyrandolu w czerwonym salonie. Czy to do uwierzenia? ci *maitres d'hôtel!* Trzeba ich jeszcze pilnować. Za cóż on bierze cztery tysiące rocznie. To jest pensya przecież.

— Ministra w Wiedniu—bąknął Bywała, rozkoszujący się papierosem.

— Jakże znajdujesz toaletę Ireny?

— Śliczna.

— *Elle sent son Worth*, hę?

— Paradna! I właśnie myślę nad tem, coby to w Warszawie było, gdyby was nie stało. Nie paliłoby się porządnego papierosa, nie widziałoby się sukni, co to suknia... nic...

— A Kohnowie? — zapytał promieniejący bankier.

— Kohnowie... hm — skrzywił się Bywalski — Kohnowie... Zobaczysz za chwilę, do czego będzie podobną przy twojej żonie pani Korońska.

— Zobaczę? gdzie i kiedy?

— Dziś u siebie...

— Będzie?

— Będą podobno... — mówił powoli, obojętnie, ziewając ale i obserwując Bernarda Bywalski.

Appelstein pobladł, dotknął kolan przyjaciela i szepnął tajemniczo:

— Uważajże więc.

Bywalski kiwnął głową z miną sybaryty, któremu przeszkadzają w digestyi.

II.

Spóźniona pora nie osłabiała ożywienia wieczoru tego w pałacu Appelsteinów.

Irena promieniała, a była ona duszą każdego zebrania, umiała mu nadać to „coś,“ co się określić nie da, a co sprawia że się tu bawimy, a owdzie nudzimy.

Promieniała, bo jej na razie nic do szczęścia nie brakowało, tej istocie lubiącej się ślizgać po wierzchu wód, których tonie ją przestraszały, ilekroć w nie zajrzała.

Nie zaglądała też.

Do szczęścia jej nic nocy tej nie brakowało. Tam, w końcu szeregu salonów, w buduarze skopiowanym z *petit Trianon*, z ulubionego pokoju Maryi An-

toniny, spało niemowlę zwane Leontynką, mające jej nadal wypełnić życie, rozpraszać wszystkie jego chmury i zasłonić wszystkie jego cienie.

Tam w Zabużu, radował się Edward Starża, bo już musiał otrzymać depeszę Bywalskiego, oznajmiającą spełnienie jego życzeń. Musiał niezawodnie przyjechać. Miała go niebawem, najdalej jutro zobaczyć, tego ukochanego brata, dla którego tyle przecierpiała, a któremu te cierpienia nic jeszcze nie ujęły uroku i wpływu; tego brata, który tak dla niej ostygł w ostatnich latach, odkąd go opanowała wszechwładnie, ta nigdy przez nią nie lubiona, a przecież tak upragniona hrabianka Kinińska...

A i Ewelina obiecała uroczyście, jak miał czas szepnąć Bywalski, że i pani Starża odwiedzi niebawem swą córkę, ta matka ukochana, której ona nie rozumiała, a o którą codzień niemal się jej pytał Bernard i zawsze temi samemi słowy:

— Ireno, co to może znaczyć, że twoja matka jeszcze u nas nie była?

A ona nie wiedziała nigdy co odpowiedzieć. Ale wieczne to pytanie zaczynało ją coraz bardziej trapić, denerwować, męczyć. Nasuwało jej myśli, których nie lubiła; zmuszało ją do zagłębiania się w tych toniach, których unikała, bo ona tak była słabą, taką „sybarytką myśli,“ jak może gienialnie ją nazwał książę Oleśnicki.

To wszystko miało się skończyć.

To też promieniała siedząc przy Korońskim, który ją bawił.

Bo hrabia Karol ją bawił.

Ten młody mężczyzna, który w swoim czasie wolał Kohnównę od niej, a który dziś byłby może ją poświęcił na jedno skinienie pani Appelstein, bawił ją swemi otellowskiemi minami, swemi ostrożnościami, by swej namiętności nie zdradzić przed papą Kohnem i zazdrosną żoną. A jeszcze więcej od niego bawiła ją młoda hrabina, rzucająca jej piorunujące wejrzenia, gdy przebywała z jej mężem, szalejąca z zazdrości, a mimo to towarzysząca mu, ile razy ona, Irena, wezwała ich do małych Tuilleryów—ich, dzieci hrabiny Korońskiej, która zwinęła salon w Warszawie, by nie być zmuszoną przyjmować w nim krewnych syna i rodziców synowej!

To wszystko, jakkolwiek wzięte powierzchownie, w przelocie, zauważone i roztrząśnięte między obiadem a teatrem, było bardzo zabawne, wiało denerwującym zapachem świata, który Irena tak lubiła we wszystkiem.

Hrabia Karol ją bawił. I teraz, wyznając jej po raz setny swoje gorące uczucia, wydawał się jej, jeżeli nie bardzo miłym, to bardzo zabawnym *trés drôle*, jak mawiała, gdy chciała największą wygłosić pochwałę mężczyzny.

Słuchała go niby uważnie, ze skupioną minką, która tyle osób wyprowadziła w pole, która może była jednym z jej najpotężniejszych uroków, spacerując

swemi czarnemi oczyma po salonie i myśląc o wszystkiem, tylko nie o tem, co jej debiutował ten, którego przecież lat temu kilka tak potężnie kochała. Nagle zmieniła wyraz twarzy i spoczęła wzrokiem na obliczu hrabiego. On mówił:

— Sposobu w jaki pani słuchasz mych wyznań, dłużej ścierpieć nie mogę. Uśmiechu stereotypowego, którym przyjmujesz najgorętsze wyznania mej duszy, który ubóstwiam w tobie, dłużej... ścierpieć nie mogę...

Mówił to poważnie, namiętnie, z goryczą pewną w głosie, z wymówką w dykcyi, z prośbą w tonie.

Irena objęła go nagle poważnem spojrzeniem, cała w niem.

— Jakże pan chcesz, bym przyjmowała jego żarty, jeżeli nie z pobłażliwym i stereotypowym uśmiechem.

— Żarty?—zapytał Koroński, drżący, zirytowany i wyzywający.

Irena przestraszyła się. Pierwszy raz przyszła jej myśl, że może źle robiła słuchając dotąd madrygałów hrabiego z tą pobłażliwością, której niezmierne zapasy miała dla wszystkich i wszystkiego.

— Czyżbyś pan nie żartował?

— Ah! pani...—szepnął hrabia głosem, na który zadrżała Irena.

Wyprostowała się na fotelu, zbladła i przeczekała chwilę, by jej serce bić tak szybko przestało.

— Przestań pan—szepnęła—nie mów, że to nie żarty.

— Pani! Czyż nie widzisz? Ireno! czyż...

— Przestań! przestań pan. Czyż nie dość mi w życiu wyrządziłeś pan krzywdy, by dziś mnie jeszcze obrażać?...

Hrabia nie rozumiał na razie. Ale Irena spostrzegła, że nie rozumiał i dziwny uśmiech politowania przebiegł po jej ustach. Po raz drugi, tego zięcia Kohnów brała za człowieka.

Przywołała swój zwykły wyraz na oblicze i rzekła:

— Skończ pan te żarty, bo bym musiała przestać pana zapraszać i przestać z panem rozmawiać. Lubię ten lekki ton światowy, pozwalający nam słyszeć rzeczy, którychbyśmy inaczej nie słyszały, ale nie rozumiem tego tonu z chwilą, gdy nam mówi rzeczy wprost obraźliwe.

— Obraźliwe? Nie poznaję pani. To pani żartujesz ze mnie.

— Czy pan mnie nie poznajesz, czyś pan mnie nigdy nie znał?

— Znałem panią panną Ireną, której mówić można było...

— Ha, ha! wszystko, a ona tego wszystkiego słuchała i brała na seryo! Widzę że nadszedł czas, w którym potrzeba wyjaśnień, jeśli mamy nadal pozostać w przyjacielskich stosunkach.

— Pani mi zawsze za złe bierzesz, że się musia-

łem ożenić z panną Kohn. Pani nie chcesz rozumieć, że można być mężem panny Kohn, a kochać się...

— Nie. Nie rozumiem tego—podchwyciła z pośpiechem jej obcym i nigdy niezrozumianym.—Jestem żoną pana Appelsteina i kochać... mogę tylko pana Appelsteina.

Hrabia wytrzeszczył zdumiony, prawie błędny wzrok, a usta mu się wykrzywiły od sarkastycznego uśmiechu, który kolorami pokrył oblicze Ireny. Ten uśmiech ją obrażał, ranił, czuła to, a ranił tak głęboko, iż wyraz cierpienia zawitał na jej ruchomej, wrażliwej twarzy, by natychmiast ustąpić wyrazowi złośliwego dowcipu. Bo i ten czasem gościł i zastanawiał na tych ustach, co nie były w stanie wyrzucić słowa, mogącego komuś sprawić przykrość.

I tymczasem wyraz ten byłby tylko nieproszonym gościem, ale Koroński parskął śmiechem.

— Ah! on!—zawołał.—Przecież nie chcesz pani we mnie wmówić, żeś zrobiła *un mariage d'amour*...

— Nie panie! nie chcę tego. Ale chciałabym pana przekonać, żem się sprzedała uczciwie, chciałabym panu być dobrym przykładem. Skoro już musimy być w świecie towarem, my Korońscy, Starżowie, bądźmyż przynajmniej dobrym towarem, tem bardziej, gdy się jest np. tak jak pan, drogim... To jedyny obowiązek, godny szanującego się mężczyzny, gdy się ożeni dla posagu.

Hrabia ponsowy słuchał i zaciskał usta, gotując jakiś dowcip. Irena spostrzegła jego złość i pomię-

szanie. Żal się jej go zrobiło, tego zarozumialca, który nie widział że tylko dlań mogła teraz żywić uczucie pogardy, że nie był dla niej mężczyzną. Dokończyła:

— I kobiecie, gdy wyjdzie dla majątku.

— Przyznałaś się pani przynajmniej — zawołał Koroński, nie kochający w tej chwili Ireny, tylko raczej ją nienawidzący.

— Może—odparła już ze swym zwykłym wyrazem, pełnym finezyi i kokieteryi w nim tkwiącej — *pour vous doser la pillule*...

Tu wstała i posunąwszy się naprzód, objęła napełniony salon wzrokiem. Ale tenże natychmiast utkwił na Bernardzie.

Bankier siedział jakby obłąkany w kącie sali i dalej bezmyślnie pochłaniał wytrzeszczonemi oczyma ten punkt, w którym dopiero co siedziała z Korońskim. Zatrzymała się chwilę i głębokiem, wyjątkowem u niej spojrzeniem zatrzymała się na mężu. Pierwszy raz jej przyszła nagle myśl, że Appelstein mógł być rzeczywiście zazdrosnym o nią. Uśmiechnęła się. To było śmieszne, absurdyczne, ale możliwe. Z błyskawiczną szybkością przebiegły jej po głowie wszystkie chwile, w których Bernard miał podobną minę do tej, jaka teraz pokrywała wyraziście jego oblicze. Tak! On więc był zazdrosnym o nią, o Korońskiego. Cóż za igraszka losu. O Korońskiego? Zastanowiła się, zapominając że stała w pośrodku rzęsiście oświetlonego i napełnionego salonu. Jakiś

wyraz niemal złośliwy, usiłował wykrzywić niektóre z jej delikatnych i w dobroci uformowanych rysów. Jeśli Bernard był zazdrosnym, to dobrze—myślała—to musiał cierpieć, cierpieć jak ona, choć z odmiennej zupełnie przyczyny.

Ale musiał cierpieć. Dlaczegożby ona tylko cierpieć miała, cierpieć tem strasznem i zapewne do zazdrości podobnem uczuciem? On cierpiał, przypuszczając, że go nie kochała... To musiało być podobnem do cierpienia kobiety, która kochać nie może tego, którego jedynie kochaćby mogła i chciała, którego jedynie jej kochać wolno.

Ale ten wyraz krótko bawił na jej obliczu. Posmutniała i otrząsnęła się. Czy jej było wolno, czyż było jej godnem, by narzucała świadomie innym cierpienia? Podeszła ku niemu i obudziła go:

— Bernardzie!

Bankier wzdrygnął się, bo się rzeczywiście obudził.

— Irena...—wybełkotał.

— Ja! Od chwili cię obserwuję. Nad czemże się tak zamyśliłeś? Przyszłam cię obudzić, bo intrygowałeś cały salon twą miną nieszczęśliwca.

— Bo byłem nim rzeczywiście — szepnął Appelstein, jeszcze nie wyrwany z błędnego koła swych myśli, a porwany już czarem kobiety.

— Byłeś?

Bernard objął żonę wzrokiem, co wystarczało, by oblicze jego raptownie powróciło do równowagi.

— Wiesz co?—zagadnął—czuję, iż ulegnę najstraszniejszej chorobie, jaka mężczyznę opanować może, chorobie, która rujnuje życie człowieka.

— Chorobie?

— Zazdrości!

— Jesteś zazdrosny?

— Codzień więcej, co godzina subtelniej...

— Ty! *un homme d'esprit?*

Bankier się uśmiechnął z goryczą.

— Gdyby rozum brał górę nad namiętnościami!...

Irena pobladła.

— I ja ci daję powody?—zapytała.

Appelstein skinął głową.

— Rozmową z Korońskim — ciągnęła.—Ależ ta rozmowa, gdybyś ją był słyszał... ha, ha! Podsłuchaj mnie kiedy... gniewać się nie będę.

To powiedziawszy uśmiechnęła się, uścisnęła dłoń męża i podbiegła do kółka gości, widocznie nudzących się.

Appelstein został sam, ale w tejże chwili zbliżyła się doń pani Korońska, która czekała już od kilku minut by go opuściła Irena.

— Jakże to przyjemnie widzieć—zaczęła z ironią rozmyślnie może dźwięczącą w jej głosie—widzieć tak dobraną parę, jak waszą. *En plain salon* w zgiełku znajdujecie chwilę, by wymienić serdeczny uścisk dłoni. Ha, ha! To budujące! Byłże to uścisk szczery, czy uspakajający, czy proszący... o prze... baczenie?

— Przebaczenie?—zapytał zdziwiony Bernard.

— No! tak! Prosi pana o przebaczenie, że bałamuci mi męża—zawołała młoda hrabina, znana z semickiej nieumiejętności panowania nad sobą w świecie.

— Irena bałamuci hrabiego?

— I pan jeden tego nie widzisz! O tem już cała Warszawa mówi, tylko my dwoje nie widzimy tego, czego nam się widzieć nie chce...

— Cała Warszawa mówi? — powtarzał jak echo blady bankier, a młoda, podrażniona kobieta ciągnęła:

— Cała Warszawa... I rzeczywiście, sama przyznaję że po dzisiejszej obserwacyi, *je me suis permise de les observer spécialement*, tylko mąż i żona to jest: ja i pan, możemy nie widzieć i naturalnie nie mówić.

— Ja i pani?

— Ja i pan. Oni się tylko schodzą, by z sobą rozmawiać. Te wieczory *intimes* w małych *Tuileryach*, to są gienialnie obmyślane *rendez-vous* ze mną i z panem.

— Ze mną i z panią?

— No naturalnie. Przecież *nous y sommes.* Nic nie robią, tylko się wzajemnie szukają, rozmawiają z sobą, wymieniają bardzo wymowne spojrzenia...

— Mąż pani i Irena?

— Tak, Karol i pańska żona...

Appelstein dopiero nieco zaczął ochłaniać. Ta kobieta obrażała Irenę. To było pierwsze co mu przyszło do głowy, skoro tylko stłumił gorączkę podniecanej zazdrości.

— Przyznam się pani, iż nie uważałem—bąknął.

— Mąż pani znał moją żonę, zanim się o nią oświadczyłem.

— Ha, ha, ha! *Parfaitement* i wiedział, że nie ma szeląga...

— Więc się ożenił z panią?

— Dla tego samego, dlaczego Irena wyszła za pana.

Appelstein opuścił się na krzesło. Nogi pod nim drżały. W głowie mu szumiało, jakby miał zemdleć.

— *Vous êtes cruelle!* — szepnął, ale tonem wykrzyku.

Oczy hrabiny zabłyszczały. Jeśli w czem widziała ratunek, to w zazdrości Appelsteina, o której już po Warszawie chodziły pogłoski, którą wreszcie sama zauważyła.

— Sądzisz pan — odparła — być może! Ja? nie; jeśli jestem taką dla pana, to i dla siebie. Pan dbasz o swoją żonę, ja dbam o Karola. Przecież tak głupią bym nie była. Nie wyszłam za niego, by mu dać tylko zbytek potrzebny do wygodniejszego admirowania pańskiej żony.

Każde słowo kobiety było sztyletem dla Bernarda. On więc był tak głupim, iż się ożenił z Ireną, by jej dać zbytek potrzebny do wygo...dniej...szego..... Ależ to było niemożliwe. Ta kobieta była tak jak on chorą.

Podniósł oczy, otworzył usta, by jej coś odpowiedzieć, coś co mu podszepnął mózg, co z trudnością wykoncypował i w słowa ubrał. Ale hrabina już go

opuściła. A Bernard nagle, jakby w lustrze, którego naprzeciw siebie nie miał, zobaczył sam siebie, ze swym głupim, osowiałym wyrazem, ze swemi rozwartemi do przemówienia ustami, ze swą nabiegłą krwią twarzą. Musiał być bardzo śmiesznym. Rozejrzał się: nikt go nie zauważył. Uratowała go na czas hallucynacya zobaczenia samego siebie, odwiedzająca nas w chwilach wielkich nerwowych rozdrażnień.

Z wysiłkiem zdołał zmienić fizyognomię. Ale że czuł, iż nie opanuje uczuć nadających mu ten wygląd, postanowił wysunąć się z salonu i ukryć swoje cierpienia.

III.

I był pewny, że nikt nie zauważył ani odrobiny z tego, co się w jego duszy działo.

Ale się mylił.

Do salonu w którym tego wieczora siedział, przylegał rodzaj ogrodu zimowego, po którym się przechadzał miarowym krokiem młody mężczyzna. Zatrzymywał się on za każdym razem w wielkich szklanych drzwiach i obejmował bystrym nad wszelki wyraz i przenikającym wzrokiem całą komnatę.

Byłby to jeszcze młodzieniec, gdyby nie jego głęboki a zimny wyraz twarzy, gdyby nie jego czoło przerznięte dwiema silnemi pionowemi bruzdami, gdyby nie jego oczy o metalicznym połysku, zdradzające dużo woli i hartu duszy. Gdyby wreszcie nie jego policzki, zapadłe i żółte, jakby pracą mózgu i cierpieniem głowy wyblakłe.

Typ tego młodego mężczyzny nawskróś był semicki. Nie biorąc udziału w zabawie towarzystwa, oddawał się jakimś trawiącym go formalnie myślom. Ten brunet o czarnych oczach, ciemnej cerze twarzy, nosił faworyty a golił wąsy, co w wysokim stopniu robiło go mniej pospolitym, ale wielce niesympatycznym typem. Długa, wygolona górna warga, ten może najwyrazistszy punkt w obliczu ludzkiem, który natura właśnie dlatego zakrywać pozwala, mówiła o charakterze człowieka niesłychanie jasno i wyraźnie. W tej górnej odsłonionej wardze, malowała się niezmierna ambicya i duma. W niej rysowała się jakaś silna i niezłomna wola, w niej jakiś rodzaj nienawiści czy pogardy dla ludzkości, w niej wszystko.

Był to niesympatyczny, ale niepospolity typ, niepospolity do tego stopnia, iż musiałby zastanowić każdego człowieka, przywykłego do szukania w twarzy duszy. Młody prawie, bo bez zmarszczki starości na swem pergaminowem, zmęczonem ale zdrowem obliczu —młody, bez siwego włosa na głowie, o myślącem, wypukłem i łysem czole, robił z pierwszego rzutu oka wrażenie starca, który dużo przeżył i ztąd nabrał tej

ostrej pewności spojrzenia, tej stanowczości ruchów i tej pogardy dla... wszystkiego.

Dnia tego wyglądał wyjątkowo podrażniony. Chodził wzdłuż olbrzymiej oranżeryi, której jeden oszklony bok dotykał kilku salonów, a drugi stanowił ścianę zieloności, ścianę niezrównaną, z której wyzierały i liście koronkowe paproci i kamelie i róże—w której grały wszystkie barwy kwiatów i tony zieleni. Za każdym niemal razem zatrzymywał się w podwojach prowadzących do sali, w której bawili goście i konstatował wzrokiem coś, co go w niej wielce interesowało, ale i drażniło. Bo jeszcze prędzej opuszczał stanowisko, chowając chude i nerwowe ręce w kieszenie od spodni, i mierzył dalej salę coraz bardziej nerwowemi krokami. Usta jego się poruszały czasem, wymawiały coś, ale głos nigdy nie dał się słyszeć, ani też nigdy nikt z poruszenia ust jego nie wyczytałby słowa. Z głową pochyloną, z wzrokiem utopionym przed siebie, myślał i myślał, a nikt mu nie przeszkadzał, jakby nikt z gości Ireny nie chciał się spotkać z tym zaproszonym naturalnie także, miłośnikiem samotności.

Tym mężczyzną był Jakób Appelstein, który dnia tego z wielkiem zdziwieniem Ireny, nie zniknął jak zwykle z uderzeniem godziny jedenastej; który zresztą rzadko kiedy pojawiał się w jej salonach, jeśli to nie było wielkie, oficyalne przyjęcie. A od pewnego czasu, jeśli tylko natrafił na najmniejsze zgromadzenie u braterstwa, znikał niepostrzeżenie, by się za-

mknąć u siebie i zagłębić czy to w rachunkach bankowych, czy w kombinacyach finansowych. Jakób Appelstein, jako bardzo silna głowa finansowa, zaczynał na siebie zwracać uwagę najpoważniejszych finansistów warszawskich.

— Gdyby Jakób był Bernardem!—mówił Kohn.

Ale Jakób znikał w głębokościach domu bankowego, którego reprezentantem był Bernard. Znikał dobrowolnie, nie występując nigdy naprzód, swoje pomysły przedstawiając jako plany brata, swoją wolę przeprowadzając, jako wolę pryncypała firmy.

Nie rozumieli go podwładni, wiedzący iż ten cichy, zamknięty w sobie człowiek, jest właściwie podporą i fundamentem wielkiego domu bankowego. Nierozumieli znajomi, widzący w nim wielką inteligencyę i siłę charakteru nawskróś stanowczego, dla prowadzenia poważnej firmy, a patrzący jak pozwalał domowi Appelstein, kierowanemu a raczej powodowanemu fantazyami Bernarda, chylić się ku przepaści. Oceniał go wielce ale bezmyślnie Bernard, postawiony przez ojca na piedestale i widzący wciąż w bracie tego nielubionego przez rodzica kopciuszka. A nie lubiła go Irena. Dlaczego go nie lubiła, nie wiedziała i nie zastanawiała się nad tem. Bawiła ją jego fizyognomia, krzycząco semicka i tak odbijająca przy Starżach, Oleśnickich, Korońskich, tak rażąca w arystokratycznem kółku jej przyjaciół. Nie lubiła go u siebie, bo jej jakby mroził atmosferę apartamentu swą poważną zimnotą, swą niezrozumiałą troską na czole, swą prze-

nikliwą fizyognomią obojętnego, niepochwalającego i niekrytykującego obserwatora. Nie lubiła go i zdawało się jej, że i on jej nie lubił. A dlaczego jej nie lubił? czy dlatego, że była żoną Bernarda, którego ojciec faworyzował? Irena go nie rozumiała, tego bankiera, innego niż wszyscy; tego doskonale wychowanego salonowca, który unikał salonu; tego młodego szwagra, nie biorącego udziału w jej życiu, a mieszkającego w tym samym pałacu; tego młodzieńca o fizyognomii pustelnika, nie myślącego się żenić, by ją uwolnić od swego rzadkiego towarzystwa, tego kantorowicza, donoszącego jej z dziwnym wyrazem na ustach, o nadejściu paki z sukniami od Worth'a, w towarzystwie przekazu na kilka lub kilkanaście tysięcy, które on wypłacał. Irena nie rozumiała tej miny, z jaką jej to donosił, bo nie wiedziała, że Jakób Appelstein od lat kilku, prawie od czasu w którym ona weszła do pałacu, nie widział dochodu od swych w interesie udziałów.

Ale Jakób Appelstein jej tego nigdy nie oznajmił, ani też mina jego obojętna jej tego nie zdradzała.

I nie o tem, ani o czemś podobnem myślał on teraz, mierząc gorączkowemi krokami zimowy pałacowy ogród, którego utrzymanie kosztowało rocznie sześć tysięcy rubli.

Myślał o czem innem, myślał o bracie, bo stan moralny jego nasuwał mu bardzo poważne obawy. — On zawsze jeszcze widział w Bernardzie reprezentan-

ta firmy, którą nad wszystko pokochał; widział w nim tego człowieka, którego szanować i słuchać ojciec go nauczył, a na którego okiem krytycznem patrzeć okoliczności go teraz dopiero zmuszały.

Pracował od dawna wytężająco mózgiem i nie dochodził do znalezienia drogi wyjścia w labiryncie, w jakim mu się zdawało, że się znajdował ze swą firmą „Appelstein i Syn.“ To go trawiło do utraty zmysłów niemal. Wszakże on był cichym, odpowiedzialnym pracownikiem tego kantoru, w którym się coś psuło i coś waliło. Wszakże...

Ale w tej chwili nie o tem jeszcze myślał. Jego gryzł Bernard, jako człowiek nie bankier, jako brat i ulubieniec ojca. Jego właśnie to był obserwował; on dlań przedstawiał nierozwiązalną, a przerażającą zagadkę. On widział tę jego osowiałą minę, która dopiero co była przestraszyła i z własnego salonu wypędziła Bernarda. On widział te minę, która nie pierwszy raz mu zdradzała, że ten człowiek, niedawno temu zdrów i czerstwy, silny, zdolny i normalny, zmienił się nie do poznania. On widział tę minę brata nie raz pierwszy już, a w niej, zdawało mu się, tkwiła geneza wszystkiego, co go tak niezmiernie trapiło.

— Jak on się zmienił, jak się zmienił — szeptał, w rozpaczy brata trwożnego o swoją krew, przywiązanego do człowieka temi potężnemi strunami w wychowaniu potomków Izraela, silniej niż w innych rasach rozwiniętemi i drgającemi.

Bernarda już w salonie nie było, a Jakób o nim myślał. Myślał chaotycznie nad zmianą, która w nim już zaszła, nad codziennym zatrważającym tej zmiany postępem i rozwojem, nad konsekwencyą jej wreszcie, która w oczach Jakóba, jasno i koniecznie, straszna a nieunikniona, zajść musiała.

W tem wsunął się Bywalski. On jeden z pośród gości Ireny nie unikał Jakóba Appelsteina, on go znał jeśli nie dzieckiem, to wyrostkiem i pamiętał, jak się w oczach jego rozwijał i przerabiał w tę podporę wielkiej firmy, z której miał być wydziedziczony.

Nie lubił go, ale go szanował; nie badał go, ale mu imponował tem czemś, czem imponują w ogóle mężczyźni, mający siłę charakteru i wolę.

— Myślałem, że zastanę tu Bernarda — zagadnął. — Czasem lubicie się ukrywać...

— Masz do niego interes?

— Interes! Ty tylko rozumiesz, gdy ktoś kogoś szuka dla interesu. Otóż i mam interes... — tu wybuchnął śmiechem i nachylając się do Jakóba, mówił szeptem:

— Wystaw sobie, Bernard jest trawiony zazdrością. Kazał mi obserwować swoją żonę i Korońskiego. Chciałem mu zdać relacyę...

— I ty się z tego śmiejesz? — zapytał tragicznie Jakób Appelstein.

— A cóż innego mógłbym robić? Wszakże to tylko śmiechu warte.

— Nie rozumiem — odparł ponsowiejąc z rozdra-

żnienia Jakób—bo tylko śmiechu godzien był człowiek tracący powoli zdrowie i trzeźwość zmysłów w waszej duszącej atmosferze. Śmiejesz się z Bernarda? Wszakże on przed sześciu laty, gdy umierał nasz ojciec, gdy obejmował firmę, gdyś go ożenił z panną Starża, nie był śmiesznym. Owszem był...

Urwał, bo Bywalski spoważniał i miną zdradzał, że uchwycił głębię myśli Jakóba.

— Mówisz, jak gdybyś przypuszczał że Bernard ma powody do zazdrości, jak gdybyś myślał, że zmianie zachodzącej w Bernardzie, winną jest Irena.

— A kto?—zapytał Jakób stając i krzyżując ręce na piersiach.

Bywalski milczał i wytrzymał pałający wzrok.

— A kto?—powtórzył tenże—kto, jeśli nie ona?

Bywalski przyglądał się Jakóbowi oniemiały ze zdziwienia i to skłoniło tegoż do tłomaczenia się:

— Nie twierdzę, by Irena dawała powody Bernardowi do uczuć, które dziś stanowią jego cierpienie, które osłabiają jego zmysły. Ale—tu zmienił głos, dykcya jego stała się prawie tragiczną i kończył szeptem — ale przecież w związku z nią, tkwi geneza tej zmiany, tej strasznej, zgubnej dla naszego domu zmiany.

Bywalski opuścił się na sofę umieszczoną w kląbie egzotycznych roślin. Jeśli Jakób mówił, to warto go słuchać; jeśli Jakób o czemś mówił, to to coś było poważnem i opłacało się wiedzieć.

Młody Appelstein ciągnął dalej:

— Jesteś przyjacielem tego domu. Myślałem nieraz o pomówieniu z tobą o tem właśnie, co mnie trapi jak zmora, a o czem z nikim mówić nie mogę. Bernard dziecinnieje... Irena mnie nie znosi.

— O czemże? Przerażasz mnie. Czy też może mylisz się w twych przypuszczeniach? Młodzi ludzie w których gorąca krew płynie, żywiej i drażliwiej biorą rzeczy, które nam wydają się codzienne. Zmieniamy się wszyscy. Bernard minął czterdziestkę, która koniecznie zmienia, będąc Rubikonem młodości...

— Bernard — przerwał Jakób prawie szeptem, siadając obok Bywalskiego — jest nad brzegiem przepaści i to przepaści która go musi pochłonąć całego, w którą jeśli runie, to się zmiażdży...

— Ha, ha! Tą przepaścią miałażby być zazdrość o tego durnia, którego za takiego pierwsza ma Irena.

— Ależ człowieku!—zawołał Jakób—ta zazdrość właśnie jest symptomem zastraszającym, bo dowodzącym, że człowiek ten traci zmysł kombinacyi i jasności myśli. Bernard jest nad przepaścią jako człowiek, bo traci trzeźwość głowy; jest nad przepaścią jako bankier, bo wydaje więcej niż ma. Bernard jeśli się nie utrzyma, jest bankrutem, bankrutem moralnym i materyalnym... Jeszcze rok, dwa tego życia, tych uczuć, tych myśli, które ot teraz wygnały go z salonu, a straci doszczętnie dwa kapitały, głowy i firmy. Cóż pozostanie? Bankrut, bankrut w pełnem słowa znaczeniu, bankrut mózgu i kieszeni. I ty tego nie widzisz?

I ty bywając codzień w tym domu, widząc Bernarda pokazującego ci nowe fatałaszki, sprowadzone z Paryża czy Londynu, lub polecającego ci obserwować żonę z Korońskim, nie widzisz nieuniknionej konsekwencyi rzeczy?... Jakże wy szczęśliwi! wy, ludzie światowi, ślizgający się po powierzchni lodu, który już pryska, by się lada chwila załamać. Jakże wy szczęśliwi i jakże związki z wami nie mają nas ogłupiać i narkotyzować? Irena mnie nie lubi, ale ja ją jako bratowę kocham, jako żonę Bernarda cenię, jako wybraną mego ojca wielbię, jako kobietę wreszcie—lalkę waszego świata, szanuję. Czy myślisz, iż ona jest szczęśliwą? ona, jako żona Bernarda Appelstein, jako *Madame Bernard*, jako *la reine*?

— Jesteś *au courant* w twym kantorze... to najświeższe.

— Jak widzisz—przerwał Jakób i ciągnął.—Ale czy myślisz że ona będzie szczęśliwą, jako żona bankruta i idyoty Appelsteina?

Bywalski oniemiał.

— I cóż mówić o takich rzeczach?...

— I to mnie może więcej, niż Bernarda trapi, bo my mamy tę żydowską, na Nalewkach powszechną uczciwość, folgującą w gorącej żądzy uszczęśliwienia tych, co się z nami łączą, bo my szanujemy, kochamy, bronimy kobiet, które są matkami potomków naszej krwi. O Irenę mi dziś więcej chodzi, niż o Bernarda, o to dziecko które tam śpi... o zobowiązania względem żony i obcych. Niechże nikt nie przeklina Ap-

pelsteinów, niechże nikt nie żałuje, że się z niemi złączył, niechże oni dotrzymają tego, co obiecali.

— Wszakże Bernard...

— Nie!—zawołał Jakób przerywając—on nic nie dotrzymał, bo obiecał żonie i przyszłej matce swego dziecka, że będzie bogatym, a nie będzie nim. A pani Appelstein ze Starżów może być tylko bogatą, a panna Appelstein musi być bogatą. My nic więcej nie obiecujemy, a więc tego dotrzymamy. A tu bankructwo kompletne! Gdyby tylko tracił głowę, a zachowywał pieniądze; gdyby tylko tracił pieniądze a zatrzymywał głowę!

Tu wycieńczony, pierwszy raz porwany potrzebą wywnętrzenia się, urwał blady i dyszący.

Bywalski mu się przyglądał ze zdziwieniem, które nie pozwałało mu się połapać w tem, co słyszał. Jakób Appelstein zwykle ponury i zamknięty w sobie, kombinujący i obserwujący, wywnętrzał się, i to jemu, z którym nigdy, widując go od tylu lat w pałacu Appelsteinów, nie wymienił dwóch szczerych zdań. Czy to było z jego strony wybuchem żalu, ściśnionego w młodej piersi, czy też celowem wyznaniem? Może on chciał, ten młodszy brat wielkiego bankiera, ten semicki szwagier pani Bernard, jego użyć za narzędzie zamierzonych reform, mających powstrzymać jeneralne bankructwo Bernarda?

— *A propos* czego mi to wszystko mówisz?—zapytał — i w jakim celu? Możemy być ze sobą szczerymi...

— A *propos* czego? ha, ha!—wybuchnął znów Jakób, oglądając się dokoła, czy kto nie wszedł do oranżeryi—*a propos* Bernarda, który ci kazał obserwować żonę i tego durnia; *a propos* jego zidyociałej miny, która mi mówi jasno, iż go strawi próżność swej żony i nowa zazdrość o swoją żonę. Te dwa uczucia namiętne, bo u żyda, zużyją tego człowieka z kretesem. One to każą mu bezmyślnym otaczać się zbytkiem, one to zmuszają go do przebiegania Europy w celu zakupu czterech naszyjników, których zapłacenie naraża mnie na czterdzieści rumieńców, o jakich gorącu nikt pojęcia nie ma. One to osłabiają na giełdzie przesiloną wczoraj firmę Appelstein, one zajmują wszechwładnie mózg Bernarda, potrzebny i użyteczny, bo Bernard miał głowę, bo Bernard jeszcze rok temu miewał pomysły i...

Tu machnął rękami, jakby już o tem mówić nie warto i podchwycił.

— Te dwa tylko uczucia zrujnują wielką firmę, to gniazdo, bo to już gniazdo... zrujnują zdolnego, inteligentnego człowieka, podetną, jeśli nie zabiją tę efemeryczną ale szlachetną roślinę, tę bezsilną, ale dobrą kobietę, jaką jest Irena.

Skończył, a Bywalski siedział długo milczący. Czuł, że Jakób prawdę mówił, a truchlał by nie był wieszczem; a na wieszcza wyglądał z miny zapalonej, ze swej dykcyi silnej i potoczystej. Zresztą on nie lubił proroctw, on się chciał bawić w pałacu Appelsteina ale nie...

— Dlaczego mi to mówisz?

— Dlaczego? — powtórzył stłumionym głosem, jakby mu formalnie tchu brakowało w wątłej piersi, chwytając się za serce Jakób — dlaczego? ha! bo już dłużej w sobie tłumić nie mogę! nie mogę! bo potrzebuję już mówić o tem, co od lat tylu w sobie gniotę, bo jestem człowiekiem, tylko człowiekiem! I dłużej patrzeć nie mogę, jak mi powoli niszczą, odbierają, rujnują zacne nazwisko, piękną firmę, pamięć ojca, życie brata, wszystko! wszystko!

— Kto?

— Irena! ta salonowa lalka, ta istota uśmiechnięta wyrazem przecudnej dobroci, którą wzbiera jej serce, ta kobieta, ideał może kobiety dla każdego, ale nie dla Appelsteina.

— Dlaczego?

Jakób rzucił się znów na sofę i szepnął:

— Daruj, ale już nie mam siły mówić... nie mam siły ci tłomaczyć tego, co równie dobrze jak ja, rozumiesz. Wy macie dwa gatunki kobiet!... Jedna i ta sama z nich będzie podporą i słońcem mężczyzny, gdy wyjdzie za niego z miłości a będzie jego ruiną, gdy wyjdzie za niego bez miłości... Irena poślubiła Bernarda... nie wiem dlaczego, bo może nawet nie dla pieniędzy które rozsypuje, ale których nie łaknęła... Zresztą to rozprawa cała, to tom napisać, rozwinąć tę kwestyę. Appelstein i Starża, to dwa nieznoszące się ciała. W połączeniu zobopólnem jedno zginąć musi. Dlatego też my giniemy. Kohna po-

chłonie Koroński. Tysiące jest przykładów. To prawo natury, prawo niemal fizyczne. Ale Bernard był głową... Sądziłem, że raczej pochłonie niż się da pochłonąć.

Machnął znów ręką i zachrypnięty zamilkł.

IV.

Irena obudziła się o niebywałej godzinie. Dniało zaledwie. Ale bo też spać nie mogła dnia tego. Nocnym pociągiem o godzinie czwartej rano, przybyła pani Starża, ukochana, od lat tylu niewidziana matka. Irena obudziła się, gdy pojazd wjeżdżał w bramę pałacu; ona jedna go słyszała. I słyszała najdokładniej, jak otwierano drzwi przygotowanych pokoi na drugiem piętrze. I zdawało się jej, że słyszy i poznaje głosy: matki, Edwarda...

Jakąż ochotę miała wybiedz na ich spotkanie! Ale nie mogła. Czyżby się wydostała przez szeregi pozamykanych salonów? Byłaby o tej nieszczęśliwej porze poruszyła całą służbę, zmęczoną przyjęciem dnia poprzedniego, z okazyi przejazdu przez Warszawę ministra Kutuzofa.

Nadsłuchiwała więc, czy nie doleci jej jakim cudem głos matki lub brata.

Ona byłaby czuwała czekając na nich, ale Appelstein wymógł na niej obietnicę, że się o zwyczajnej położy porze. Bernard tak był o nią troskliwy, troskliwszy jeszcze teraz, gdy była matką upragnionego bóstwa, śpiącego tuż przy niej w kołysce.

Byłaby może nie usłuchała Bernarda, ale Ewelina prosiła ją, by nie czekała na matkę.

— Mama będzie zmęczona drogą—mówiła—trzeba jej oszczędzać wzruszeń. Tak dawno cię nie widziała! Doktor wyraźnie polecił, by jej nigdy niczem nie nużyć, nawet uciechami...

To ją przekonało.

A tak była ciekawą tej matki, która jej się zdawała inną osobą, tak wyglądała zmienioną z opowiadań bliskich, z postępków własnych wreszcie. Irena jej nie poznawała w tej obojętności dla siebie, pozwalającej jej lat cztery nie być u córki, nie pragnącej widzieć jej domu, odetchnąć jej atmosferą. Nie poznawała jej też w opowiadaniach Ewelinki i Edwarda, malujących ją jakby pogrążającą się w apatycznej dla świata obojętności. To jej się zdawało niemożliwe, by pani Starża, tak żywa, dobra, żyjąca sercem tylko, mogła uledz zmianie, której jak słyszała, ulegają czasem bardzo wiekowe osoby. A matka jej nie liczyła więcej niż lat sześćdziesiąt, Edward minął trzydziestkę. Gdy ona, lat temu sześć, wychodziła za mąż, pani Starża była jeszcze niemal młodą kobietą. Przypominała sobie jej okrągłe rysy, jej rumianą cerę, jej pełną, ale kształtną figurę.

Cóż to więc było? Czemużby się tak posunęła, tak nagle, tak dziwnie?...

Irena usnąć już nie mogła. Była ciekawą matki będąc jej spragnioną. Jak ją znajdzie, jak znajdzie jej życie, pałac, a jak znajdzie Leontynkę?

Oto było wielkie pytanie, które gdy się narzuciło młodej kobiecie, uczuła że nie uśnie. Jak matka jej znajdzie swą wnuczkę? dziecko jej, Ireny, tego domowego bóstwa...

Podniosła się na posłaniu i alabastrową ręką posunęła poduszki. Już wiedziała że nie uśnie, więc mogła się bawić tworzeniem obrazu, mającego się narysować za kilka godzin. Czy matka jej znajdzie dziecko podobnem do niej, czy do brata, czy do babki, czy do ojca? Jej się zdawało czasami, że malutka Leontynka przypominała Edwarda. Wdała się więc w Starżów, bo Edward był jak dwie krople wody podobny do Andrzeja Starży, kasztelana buskiego, fundatora kościoła w Zabużu, gdzie też jego portret wisiał nad drzwiami do zakrystyi. Podczas mszy, gdy była malutką dziewczynką, siedząc w kolatorskiej ławce, zawsze mu się przypatrywała i nad podobieństwem do brata zastanawiała...

Uśmiechnęła się Irena, bo sobie przypomniała jak Edward nie lubił, gdy mówiono o tem podobieństwie, siłą jednej z tych niewytłomaczonych u dzieci niechęci. To też ona, ile razy się na brata rozgniewała, wołała „pan kastelan.“ Doprowadzała tem do wściekłości grubego, a zawsze despotycznego blond

bachora, jakim był wówczas Edward Starża, śpiący ot teraz na piętrze w pokoju, który mu sama przygotowała, przypominając sobie wszystkie jego gusta...

Ale jak mama znajdzie Lulu?

Czy Lulu była już podobną do kogokolwiek? Do niej może?

Nagle ściągnęła brwi. Gdy kiedyś pokazywała Bywalskiemu Leontynkę, pytając go o to samo, tenże jej powiedział:

— Podobną jest do pani i podobną jest do Bernarda.

— Do Bernarda? — zapytała — pierwszy to pan znajdujesz.

— Widać, że nikt się jej tak dobrze jak ja nie przyjrzał—odparł Bywalski.

Ona tego podobieństwa do Bernarda dopatrzeć się nie mogła. A bała się go okrutnie, bo jeśliby maleństwo było podobnem do Bernarda, to mogło się stać podobnem do Jakóba. Dzieci tak się zmieniają... A Jakób, Jakób?...

Irena ciężko westchnęła i podniosła się na poduszkach. Uczuła pot na twarzy, czole, na całem ciele. Czyżby było tak gorąco w komnatacie? Dusiło ją formalnie.

Zapaliła świecę i spojrzała na termometr, przypięty do jedwabnej kotary łoża. Wskazywał 15°. Gorąca nie było... Nie czuła się też słabą...

Zgasiła światło i postanowiła usnąć. Noc bezsenna mogłaby jej popsuć zbliżający się dzień, jeden

z najpiękniejszych w życiu, na który tak długo czekała, którego zwłoka niejednę jej łzę wycisnęła, od którego sobie tyle szczęścia obiecywała.

Przytuliła głowę do poduszki. Cisza panowała w komnacie, do której jednak dolatywał turkot budzącego się miasta. Czasem dorożka przeleciała po asfalcie około pałacu, odwożąc zapewne z nocnej hulanki pijanego młodzieńca lub może rozmarzoną pannę z balu. Nic tak nie usypiało Ireny, jak ten ruch idącego na spoczynek świata w budzącem się mieście, o ile on do niej dochodził przez grube mury pałacu, przez kotary i dywany, o ile wstrząsał kryształami żyrandoli w salonach, jakby po to by ją tylko przekonać, że wszystko dokoła niej żyje i zabiega.

Ale dziś to nie skutkowało.

Jak mama znajdzie Lulu?...

. . . .
. . . .
. . . .

Zerwała się znowu, zapaliła świecę, wsunęła nogi w jedwabne pantofle, które jej przed paru dniami przywiózł hrabia Mikołaj z Kairu, i pobiegła z lichtarzem w ręku do przyległego gabineciku. Tu na środku tronowała kołyska, bijąca do światła połyskiem niebieskiego atłasu i złotem plecionki.

Uchyliła jedwabnej, ale lżejszej od gazu zasłony i wlepiła wzrok w oblicze spokojnie śpiącego dziecka.

To dziecko do Appelsteinów nie było podobne...

Ale było ono jakieś inne od wszystkich dzieci,

jakie w tym wieku widziała, czy też tak się jej może zdawało. Przypominała sobie dzieci Ewelinki, inne, wszystkie jakie w życiu z zajęciem oglądała. A Lulu wciąż zdawała się jej inna...

Westchnęła ciężko. Miała widocznie gorączkę. Co ona chciała od tego niemowlęcia. Podobne ono było do wszystkich niemowląt. Przecież dzieci nie mają rysów, ani nic jeszcze coby je do tego, czy owego podobnemi robić mogło.

Ale Lulu miała ciemniejsze oczy, niż je miewają dzieci. Leontynka miała z czasem być brunetką... to nie ulegało wątpliwości... I ona była brunetką, więc córeczka musiała być do niej podobną... Bernard był blondynem...

Ale Jakób, jakże silnym był brunetem...

. . . .

Pani Leontyna Starża, której portret Winterhaltera wisiał w niebieskim salonie, była także brunetką...

Ale dlaczego Bywalski...

Znów westchnęła.

To westchnienie chyba obudziło francuską bonę, śpiącą przy dziecku.

— *Ah! c'est madame* — szepnęła, przecierajęc oczy, i poznając panią Appelstein w niespodzianem widziadle.

— Czyżby Lulu się obudziła? czyżby pani co słyszała? Czyżbym tak twardo zasnęła? — zawołała Francuzka, zrywając się z pościeli.

— Nie, nie! — szepnęła Irena, jakby się budząc z odrętwienia. — Lulu śpi wybornie... To ja zasnąć nie mogłam, i...

Francuzka znudzonym tonem odrzekła:

— To co innego... Ale dużo widziałam dzieci, i dzieci wielkich domów, ale takiej matki jak pani, nie widziałam. Arcyksiężna Gizella czasem całą noc ze mną czuwała, księżna d'Aumalle *elle était ennuyeuse*... ale...

Ziewnęła i niedokończyła.

— Ale ja jestem nudniejszą? — zapytała Irena nagle, pragnąc by Francuzka już nie zasnęła.

— Nie to, ale tak rano... wolę całą noc nie spać, niż rano...

— Być obudzoną? Wszakże ja bardzo cicho się sprawowałam. Oddychałam zaledwie...

— Ale to światło. *Voyez vous madame*, ja śpię jak myszka, ja mam wprawę tego spania.

Ziewnęła, jakby już zasypiała.

— Bo widzisz, moja droga pani, nie mogę dojść, do kogo jest podobna Lulu.

— *Voilà*... ciągle ta sama historya. *Ah! les méres*. Przecież tyle razy pani mówiłam, że podobną jest do pani i do ojca. To zawsze tak idzie, odziedziczają maleństwa po rodzicach *et puis*... Siostra pani znajduje, że jest podobną do matki pani. *Je verrai ça aujourd'hui*. A ja się znam. Gdy się urodził synek księżniczki Karoliny de Bourbon, zaraz powiedziałam, że wdał się w Bourbonów, bo też był to książę d'Eu wy-

kapany. A ja to podobieństwo pierwsza odkryłam, choć księżna upierała się, że małe książę przypominało ojca.

— A książę?

— Był rodzonym stryjem.

Irena zacisnęła usta, oparła się dłonią o krawędź kołyski, a świeca drgnęła w jej ręku; czarne brwi się ściągnęły wyrazem bólu, czy cierpienia.

Francuzka nie widziała tego, bo już przymknęła oczy przekonana, że uspokoiła rodową i macierzyńską dumę matki, upewniając ją że dziecko było podobne do niej i do ojca. O cóż jej więcej mogło chodzić?

Irena jeszcze raz wzrok wlepiła w kołyskę, wzrok wytężony, wytężeniem tak twardy, że aż dziecina w puchach drgnęła.

Zapuściła zasłonę i powróciła do sypialni. Zarzuciła na siebie białe niedźwiedzie futro, służące jej za *saut de lit* i zgasiwszy świecę, rzuciła się na fotel.

Dniało. Przez szpary w okienicach, przez fałdy koronkowych firanek, wdzierało się ponure światło ponurego zimowego dnia.

Irenie w głowie szumiało, jakby po balu, po tańcu. Nie mogła sobie przypomnieć ani tytułu, ani treści romansu przed niedawnym czasem czytanego, a opartego na dziwnych prawach i igraszkach atawizmu.

Bo też ci autorowie francuzcy waryowali z tym atawizmem, jak Zola z tą genealogią rodziny Mackartów, jak... Ale jakiż tytuł miał ten romans dziwa-

cznie osnuty na podobieństwie atawistycznem? Jakże to było? Romans się zaczynał urodzeniem córeczki jakiegoś markiza w ponurym zamku Normandyi. Akuszerka odkrywała podobieństwo tego dziecka do jakiegoś portretu, wiszącego w galeryi rodzinnej. Ten portret przedstawiał damę z czasów Ludwika XV, jakąś Włoszkę, co otruła męża...

Majaczyło się jej. Co to było? Jaki tytuł? Jaki autor? Jakie pokrewieństwo między tem dzieckiem a tym portretem?...

. . . .

Uczuła, że ją głowa silnie boli. Ależ ona była waryatką w tym uporze przypomnienia sobie treści przeczytanego gdzieś romansidła! Choć to nie był zły romans... interesował ją bardzo. Czytała go mając właśnie zostać matką...

. . . .

— Oszalałam!—szepnęła i zerwała się z krzesła, by otworzyć okienice i zaczerpnąć powietrza.

V.

O godzinie dziesiątej rano Irena była przy matce.

Pani Starża się bardzo posunęła, choć pozostała jeszcze piękną staruszką. Białe włosy prawdziwie zdobiły spokojne, zdrowe, różowe oblicze matrony. Bo ma-

troną była ona w pełnem słowa tego znaczeniu. Powierzchowność fizyczna skłaniała się ku nadaniu jej tych cech, które sprawiają razem wrażenie matrony. Dobroć zawsze krasiła tę twarz, która straciła wiele na życiu i werwie, ale zyskała jakiś niezmiernej pobłażliwości wyraz.

Irena badała oblicze i duszę ukochanej matki. Nie znajdowała w nich tej zmiany, do której ją jeszcze przed godziną przygotowywała Ewelina.

Przed godziną bowiem zeszła do niej, by ją przygotować, iż zastanie matkę już nie tę którą ostatni raz widziała. Mówiła o jakiej utracie niektórych władz umysłowych, wspominała o nabytym defekcie myślenia czasem głośno. Irena niczego z tego wszystkiego od pół godziny dopatrzeć się nie mogła. Matka jej pozostała taką jaką była, nieco bielszą, a tem samem różowszą, jeszcze łagodniejszą, jeszcze piękniejszą. Jakąż władzę mogłaby utracić, jeśli pozostała dobrą? Jakąż wadą mogłoby być, że głośno myślała, jeśli myślała tylko rzeczy piękne, bo o jakichże innych mogłaby myśleć?

— Tak dawno cię nie widziałam, najdroższa moja—powtarzała wśród łez, które co chwila jej stawały w jasnych oczach — tak się bałam cię widzieć, bo się bałam, byś nie była nieszczęśliwą... Ale pragnęłam cię zobaczyć, tylko widzisz—tu przytłumiła głos i szeptem kończyła—tylko widzisz, Edziowa mi nie pozwalała... Edziowa nie pozwalała...

A więc to to, do czego ją przygotowywali — my-

ślała Irena. — Mówiąc o Edziowej, naturalnie mama myśli głośno i to powtarzanie ostatnich, czy ostatniego słowa, oto te nabytki wiekowe ukochanej istoty... jakże miłe, urocze, czyniące ją jeszcze droższą.

„Edziowa nie pozwalała,“ Irena nie podnosiła tej wciąż powtarzającej się szeptem zwrotki. Ale łzy jej stawały za każdym razem w oczach, bo w tych kilku słowach, w tym szepcie, była cała jej poczciwa, łagodna, dająca się opanowywać i terroryzować matka.

„Edziowa nie pozwalała,“ ta Edziowa, której by ułatwić wejście do rodziny Starżów, ona wyszła za Appelsteina; ta Edziowa, dla której męża tyle już poświęciła, tyle przecierpiała, nie dalej jak temu dni kilka, tyle... choćby tylko spojrzenie Jakóba, jakiem ją objął po wypłaceniu ostatnich trzydziestu tysięcy.

„Edziowa nie pozwalała“ matce widzieć ją, siostrę jej męża...

Irena czuła, iżby dniem całym łez nie utuliła żalu, gdyby nie radość chwili, ujrzenia dawno niewidzianej matki.

— Dobrze ci—mówiła znów pani Starża—jesteś jak królowa, a i Appelstein cię kocha (sepleniła staruszka). Jakżebym ja chciała być z tobą, bo Ewelinka się bezemnie obchodzi, a tyś mnie zawsze potrzebowała, a Edziowa...

Niedokończyła, tylko smutnie pokiwała głową. Ale po chwili przysunęła się do ucha córki i szeptała:

— Edziowa to nie my, nie ja, nie ty, nie Starżowa...

Skończyła w uścisku, bo Irena uchwyciła jej głowę i tuliła jak dziecko do łona i okrywała pocałunkami i łzami.

— Moja mateczko droga...

A matka kiwała głową i powtarzała:

— Ewelina nie pozwalała.

Zapewne, że nieco zdziecinniała—myślała Irena —ale jakże jej z tem do twarzy, jakże to zdziecinnienie szło w harmonii z jej niezmierną dobrocią, łagodnością i biernością. Co tę bierność w niej wyrobiło?— myślała Irena swym pytającym, dojrzałej kobiety rozumem.—I znajdowała zaraz odpowiedź we wspomnieniu gorącego uczucia, jakiem żonę otaczał jej ojciec.

Jakże ona była szczęśliwą, siedząc w tej chwili sama przy matce. Edward jeszcze się nie obudził. Mąż jej bawił w kantorze.

Ale ta chwila nie mogła trwać nieskończenie.

Wkrótce nadszedł Edward, po nim zaraz zaonsował się Appelstein, który w kantorze dowiedział się o przebudzeniu pani Starży i śpieszył powitać upragnionego gościa u siebie.

Nastąpiły sceny uprzejmości, wymuszenia, szczerości i szczęścia. Bernard rozczulił się do łez witając matkę ukochanej żony, babkę córki.

Edward zwrócił się do Eweliny i szepnął:

— Appelstein się roztkliwia, to niebezpieczne...

— Fe!—szepnęła pani Jesiołowska rzeczywiście oburzona — te koncepta, szczególnie w twoich ustach, są nie na miejscu.

— W moich!—bąknął zarumieniony aż po białka Starża.

Gwarno było w saloniku. Nadeszła i ongi upragniona bratowa Ireny. Zawiało od niej zimno. Czuć było przymus i uprzedzenie w każdym jej ruchu i słowie. Zresztą usiłowała być naturalną, uprzejmą. Wymieniali z mężem znaczące spojrzenia. Ona, hrabianka Kinińska pytała, a Edward wzrokiem ją podtrzymywał. Ona się niby skarżyła, a Edward jej przypominał dopiero co uzyskaną pożyczkę, ratującą ich od strat i wstydu.

Pozycya jej nie była pozazdroszczenia godną. Czuła to, czuła niewłaściwość chwili wejścia pierwszy raz do tego domu, nazajutrz po uzyskaniu pieniędzy, jakby była zapłaconą.

Ztąd z chwilą jej wejścia zawiał chłód zażenowania. Poczerwieniała Irena, zesztywniała, ona, nanaturalność chodząca. Tylko Appelstein nie widział nic i nurzał się w prawdziwej, czy udanej radości.

Irena go obserwowała. Sprawiał jej dziwne wrażenie, niezwyczajne, zatrważające. Prócz zmiany fizycznej, żona dostrzegła w jego obliczu jakieś ślady znużenia moralnego, niemal wyczerpania. Wesołość nie harmonizowała z jakimś błędnym wyrazem wzroku, z jakiemś zaniepokojeniem, które chwilowo zdradzał.

— Wyglądasz zmęczony... — szepnęła mu do ucha, kładąc swoją białą dłoń na jego czole.

Bernard spojrzał na nią osowiałym wzrokiem,

nagle uchwycił jej rękę i przycisnął do ust całując kilkakrotnie.

— *Quelle idée, je suis si heureux* z przyjazdu twej matki.

I spuścił oczy.

Irena się zatrwożyła. Bernard nie był naturalny. To już wystarczało, by zadrgać wszystkiemi wydelikaconemi nerwowej kobiety fibrami.

— Co mu jest? bo coś jest...—szeptała do siebie, usiłując odkryć, przedrzeć zasłonę, którą zdawało się jej, przed sobą miała. Serce ją zabolało, zabolało tak, jak kilka razy zaledwie w życiu przed donośnemi wypadkami, o ile pamiętała instynktem więcej niż pamięcią.

Uczuła fizycznie jakby pierwszy powiew gorącego powietrza, poprzedzającego w naturze burzę, moralną jakąś katastrofę. Ale jaką? Czegoż się ona bać mogła? dzisiaj? szczególnie dzisiaj?

Wrażenie nie mijało. Myśli trwożne ją ogarniały. Ona od kilku dni już była niezwykle pobudzoną, wczoraj co chwila chciało się jej płakać, dziś spać nie mogła, a ustrój nerwowy tak się w niej wydelikacił, że w nocy zbudził ją turkot karety na gumowych kołach, po gumowym bruku, którego nigdy nie słyszała, który do niej przez olbrzymie sklepienia i mury przedrzeć się nie mógł. To był więc rodzaj nadprzyrodzonej siły, a to występuje w rozstroju nerwów.

Zlękła się o siebie. Gdyby miała zachorować teraz, gdy była tak szczęśliwą? teraz gdy była po-

trzebną Leontynie? To pobudzenie nerwów, ten nagabujący ją od dni kilku niepokój, a w tej chwili przybierający cechy przewidywania katastrofy, prawie niemożliwej na pogodnem niebie, nie był naturalny.

Spojrzała po ożywionem zgromadzeniu. Matka jej wyglądała zdrowo, Ewelina przedstawiała samo szczęście. Edward tryumfował swą fizyognomią. Bernard? Cóżby mu groziło, jeśli się czuł zdrów? Rzeczywiście, szczęście tylko mogło wpływać na zmianę jego oblicza. On może więcej od niej cierpiał na zimnocie, wiejącej dotąd od strony rodziny Starżów.

Usiłowała się rozerwać, rozpędzić natrętne myśli. Ona zawsze tak była wrażliwą. Byle co wykolejało ją w głębinach ustroju z godziny na godzinę, z minuty na minutę.

Pora śniadania się zbliżała. Przed siadaniem miało nastąpić uroczyste przedstawienie babce Leontynki, czy odwrotnie.

Irena spojrzała na zegar. Wskazówki jego stały na dwunastej. A więc miało to nastąpić niebawem. Lada chwila się zgłosi Francuzka i oznajmi, że maleństwo przystrojone, obudzone, nakarmione, uśmiechnięte spoczywa w kołysce.

Rozpromieniła się. Uleciały wrażenia. Co matka powie? Co Edward powie? Jaką znajdą tę dziecinę z ich krwi, wyszłą z jej łona, z niej, przez nich ukochanej kiedyś.

Żeby wskazówki prędzej się posuwały, żeby Francuzka prędzej nadeszła, toby przyśpieszyło tę upragnioną chwilę, którą jednakże ceremoniał Bernarda drobiazgowo określił i zadysponował. Ona chciała, by Leontynka obudziła babkę. Wobec piękna tej myśli, byłby Bernard może odstąpił od całego obmyślanego ceremoniału, ale zachodziła obawa, by dziecko nie zaziębiło się, przenoszone przez wielkie marmurowe schody. Francuzka opowiadała, iż jakieś rzymskie książątko jej opiece poruczone, umarło z zaziębienia, które je zawiało od świeżej bielizny.

Myślała, a tymczasem wskazówki się posuwały.

Edward przysunął się do siostry i szeptał.

— Jeszcze ci nie podziękowałem. Jesteś *sublime!*

Irenie łzy stanęły w oczach. To podziękowanie ją poprostu zabolało. Brat uchwycił jej obie ręce i przycisnął do ust, spostrzegłszy wrażenie jakie wywołał. Irena o mało się nie rozpłakała. Z wysiłkiem zdobyła się na odpowiedź:

— Ah! tak byłam szczęśliwą ci dopomódz... podziękujże Bernardowi — dodała cicho, urażając znów brata.

Ona była niezręczną. To może nie taki był ton Edwarda, tylko ona wszystko inaczej widziała w swem rozstrojeniu. Jakże miał podziękować inaczej? Jakże jej dokuczała ta wyobraźnia wydelikacona?

Wreszcie Marya pierwsza uchwyciła gienialnie sposobność przejednania sobie Ireny.

— Ot i zaraz pierwsza. Chodźmyż poznać moją synowicę!—zawołała z wymuszoną emfazą.

Ale tej ostatniej nie zauważyła Irena. Ją zachwyciło, że bratowa czekała pory i zauważyła ją. Przebaczyła jej w tej chwili wszystko. Pani Edwardowa spostrzegła to wrażenie; postanowiła je wyzyskać. Z cudownym uśmiechem łaskawej pani, zwróciła się do Ireny:

— Ja ciekawam Leontynki, na którą się powinnam gniewać. *Elle m'a fait tante*; starzeje mnie...

Ruszono, bo i mistrz ceremonii oznajmił Bernardowi, że wszystko gotowe. Appelstein prowadził rodzinę do dalszych apartamentów, podając ramię pani Starża, która powoli rozwiewała pierwsze wrażenie uczynione na Irenie. To też wsunęła swą rękę pod ramię Eweliny i szepnęła:

— Mówiłaś mi, że mama tak się zmieniła... nie spostrzegam nic...

— Ah!—odparła ze smutkiem pani Jesiołowska —czuje się swobodniejszą, *voila*; straciła guwernera...

Irena nie rozumiała całkowicie. Ewelina dodała:

— Mama czasem coś powie takiego...

— Czyż coś złego lub komu przykrego?

— Zapewne... ale aniołowie nawet przestaliby być aniołami, gdyby głośno myśleli.

— Ah i tego nie spostrzegłam.

— Czasami... Widzisz, ja sobie to tak wyobrażam. Zmuszona na starość do niemówienia tego co chce powiedzieć, myśli czasem głośno, *ça lui échappe.*

Już byli na dole. Już wchodzili do tak zwanych wielkich apartamentów pałacu Appelstein. Pani Starża zdawała się nic nie widzieć, niczemu się nie dziwiła, na niczem nawet dłużej wzrokiem się nie zatrzymując. Trapiło to Bernarda. On mimo wszystkiego, mimo pewnej wyższości charakteru, lubił olśniewać. Ten gust opanował go już po ślubie, i wzrastał. Lubił gdy coś chwalono, podnoszono—a pani Starża milczała. On właśnie wysadził się, by jej pokazać jak umiał ocenić jej córkę, skoro jej tak ubierał dom. I przechodzili w koło legii wystrojonych lokai, świeżych jakby z porcelany, w błękitnych frakach, w niepokalanem wygoleniu, w prześcigającej biusty fryzyerskich wystaw modelacyi. I przechodzili przez salony, któreby dynastom imponowały umiejętnem połączeniem dzieł sztuki, wielkim zakrojem linii i barw.

Wreszcie odezwała się matrona:

— Po królewsku urządziłeś mi Irenę, mój Appelsteinie.

Bernard oniemiał. Sposób zagadnięcia wydał mu się dziwaczny i zranił jego ucho, przywykłe do słów stereotypowo ułożonych. Spojrzał w oczy kobiecie i uspokoił się. Nie miała intencyi go zranić, ani drasnąć—ta spokojna, biała staruszka, krocząca obok niego. Ale mu to „mój Appelsteinie" dziwnie wyglądało w ustach kobiety, której elegancyi salonowej zachował wrażenie.

Edward znał już ten pałac, ale żona jego pierwszy raz w życiu przestępowała progi tak zwanych fi-

nansów. Gdy wchodziła w świat w Warszawie, gdy się o nią starał Edward, należała do antisemickiej koalicyi, którą reprezentowała księżna Nichette, a do której się zaciągnął jej ojciec, chcąc w ten sposób podnieść swą salonową pozycyę. Wyglądała zdziwieniem rozłoszczona, zazdrością duszona, mimo swego niedostrzegalnego na cienkich ustach uśmiechu pogardy, którym sama sobie chciała wmówić, że finansom osoby dobrze urodzone niczego z zasady zazdrościć nie mogą.

Ale pani Edwardowa była zażenowaną i ztąd zły, niemiły wyraz wykrzywiał jej oblicze. Uczuła się nagle w jakichś sferach jakiegoś świata, dla którego musiała być czemś bardzo małem. A ona nie lubiła być czemś bardzo małem. Wychowana w domu dorabiającego się hrabiego, wśród sąsiadów wiejskich, uważających prostotę za hasło *à defaut de mieux*, przyzwyczajona widzieć szczyt zbytku w staroświeckich urządzeniach kilku arystokratyczniejszych okolicznych domów, uczuła się głęboko zawstydzoną, gdy nagle pałac Appelsteina uchylił jej zasłony, na wykwint i prostotę prawdziwie wielkich mocarzy, nie Warszawy lecz świata.

— Przecież - myślała — inaczej być nie mogło u Rotszyldów, ani u Bourbonów, z wyjątkiem kilku małych różnic w szczegółach.

Uczuła zazdrość.

Nie zazdrościła Appelsteinowi, bo był to niemożliwy skok przy jej wyobrażeniach, ale pozazdrościła Starżównie, która jej nagle zaimponowała swą natu-

ralnością i swobodą w tych komnatach, w których ona, hrabianka Kinińska z domu, czuła się prawie nie u siebie, siłą różnicy atmosfery zbytku i płynących ztąd przyzwyczajeń i pojęć. Zadrżała, by się nie zdradzić, by się nie skompromitować czemś podobnem, jak ten pleban płukanką, jak ten zbankrutowany hrabia, który się zbłaźnił—pamiętała na wieki—w oczach jej ojca, łyknięciem jednym haustem likieru po obiedzie.

Edward rozglądał się pilnie. Jeśliby Appelsteina kieszeń stała wciąż otworem, by go ratować w kryzysach na śliskiej drodze do prędkiego wzbogacenia się, toby i on podobnie się urządził, a jeszcze lepiejby to wszystko u niego wyglądało, więcej na swojem miejscu, silniej na swoich nogach, jeśli nie z urokiem tradycyi, to z możliwością iluzyi tejże.

Minąwszy niezliczoną ilość salonów, bo Bernard umyślnie tak wprowadził do apartamentów gości, wchodzono do różowego gabinetu, w którym królowała w złocistej kołysce, na postumencie zasłanym niebieskim pluszem—Leontynka.

Francuzka w czarnej aksamitnej sukni, z miną starej dynastki, tyle tonu nabrała w swem długoletniem z dynastami obcowaniu, powitała gości u drzwi, a mamka w stroju wiejskim ale z jedwabiu i aksamitu, stała przy kołysce i poruszała ją nogą.

Irenę lubiącą prostotę, żenowała ta wystawa, mająca w sobie coś teatralnego. Spoglądała tylko na matkę i bratowę, czy nie dostrzeże na ich twarzach

uśmiechu, któryby ją zabolał. Ale nie; pani Starża zdawała się nic nie widzieć, a pani Edwardowa zdawała się niechcieć widzieć.

Nad kołyską zawołała do matki:

— Oto twoja wnuczka!

Wszystkich oczy utkwiły w twarzyczce dzieciny uśmiechniętej figlarnie, jakby do okoliczności—i wśród grobowego milczenia przenosiły się na oblicze matki.

Pani Starża zaczęła trząść jakby przecząco głową (ten ruch nerwowy był pierwszym nabytkiem jej zaczynającej się starości). Utopiła wzrok w dziecinie i jakby bezmyślnie kiwała głową, a jakiś smutek zdawał się oblewać jej oblicze, wybijając się z głębin duszy.

Wszyscy milczeli. Wszak ona powinna była pierwsza znaleźć słowo, którego z gorączką czekała Irena, z dumą i pragnieniem Bernard.

Nagle twarz matrony rozjaśniła się. Zaczęła nerwowiej i prędzej poruszać głową, a jakiś niezmiernie dobry, czuły, kochający, macierzyński uśmiech pokrył jej rysy.

By przemówić, otworzyła usta, poruszyła niemi kilkakrotnie. Z jeszcze większem wytężeniem wpatrywała się w dziecinę: oczy jej się zwilżyły jakby z rozrzewnienia nadmiernie czułego serca i rzekła:

— Ślicznota moja... maleństwo... jakież to... wnuczątko moje...

Nagle urwała, posmutniała i dodała z uśmiechem, który nie miał czasu opuścić jej rysów:

— Istna żydóweczka...

Grobowe milczenie przerwało tylko chrząknięcie Edwarda.

Matrona powtórzyła w zapale i jeszcze pieszczotliwszym tonem:

— Macieństwo moje, istna żydóweczka...

. . . .

. . . .

VI.

Irena przechodziła tortury, by nie pokazać uczuć które ją od owej chwili trapiły. Był to chaos myśli i wyobrażeń, żalów i smutków, któremi się z nikim podzielić nie mogła, których sama zanalizować nie była zdolną.

Powiedzenia pani Starża, którego ona sama najniezawodniej nie słyszała, nikt więcej nie podniósł. Była to jedyna możliwa rola każdego. Gdy głuche milczenie, jakie bezpośrednio po tem strasznem, okrutnem a niewinnem powiedzeniu nastąpiło, Edward pierwszy przerwał, Irena dopiero się uczuła zdolną podnieść swe oczy, do których tym razem nawet się łzy nie cisnęły.

Podniosła je i potoczyła niemi po obecnych. Jak-

że doskonale pamiętała, teraz jeszcze, po upływie kilkudziesięciu godzin fizyognomie zgromadzonych, blade oblicze Bernarda z jeszcze silniej się rysującym wyrazem zmęczenia i poświęcenia, purpurową twarzyczkę Eweliny, zaciśnięte usta i enigmatyczną, ale jakby uradowanie kryjącą minę Maryi, wściekłość w twarzy brata. On wreszcie znalazł właściwe słowo i ocalił sytuacyę, której przykrość liczyła się na sekundy, jak nieskończoność długie.

Nikt jej powiedzenia matki nie tłomaczył, nieprzyszło do wymiany myśli między nią a mężem. Pozostawała sama z jego wspomnieniem i wrażeniem, i miała z niem samą zawsze pozostać.

Powoli, czuła, otwierała się w niej jakaś głęboka rana, tak głęboka, tak nagle obolała i rozjątrzona, iż nie mogła być świeżo zadaną, tylko musiała być otworzoną. Dlaczego ona o niej nie wiedziała? Dlaczego własna matka ją odkrywała?

Cierpiała bólem, którego sama zanalizować nie mogła, bo ile razy to uczynić próbowała, wpadała w zamęt pytań, niemających odpowiedzi, żalów niemających przedmiotu, rozpaczy nie mającej źródła ani ujścia.

Czyż nie wiedziała że Appelstein był żydem, czyż nie mogła przypuszczać, że dziecko jego wdać się w krew jego może? Czyż tego podobieństwa sama pierwsza nie była dostrzegła? Czyż mogła czuć najmniejszą do matki urazę?

Zkądże więc ta rozpacz niemal, to ciągłe wraże-

nie przepaści nagle przed nią roztworzonej, tej próżni nagle ją otaczającej?

A swoją drogą, to przeczucie jakby katastrofy, dalej ją trapiło. Czuła się coraz anormalniejszą i coraz bardziej oddalającą się od siebie. Miała ochotę moralnie uchwycić sama siebie i nie mogła. Ta okropna chwila w której tyle przecierpiała, która właśnie mogła być tą przez nerwy jej przewidywaną katastrofą, robiła jej coraz bardziej wrażenie jakby preludium do mających nastąpić ewenementów w jej najbliższem życiu.

A tu trzeba było się wysilać, by nie zdradzić przed nikim bólu któryby logicznie wytłomaczyć mogła, by nie wydać się z tem ukochanej matce, wlepiającej w nią wzrok, ażali jest szczęśliwą czy nieszczęśliwą.

Ah! jakże nią była teraz, gdy tysiące szczegółów, które nigdy jej myśli nie zatrzymały, teraz jakby jasnowidząca, zgłębiała i ze wszystkich stron badała.

Jakże ona była nieszczęśliwą przypatrując się własnej przeszłości, oświetlonej innem, całkiem nowem światłem, rzucając myślą w przyszłość, którą widziała inną niż dawniej.

Jakże ona była nieszczęśliwą w swej niemocy ogarnięcia swych cierpień i choćby najpobieżniejszego ich zdefiniowania.

Co chwila pytała się sama siebie, gdy się opędzić nie mogła milionom subtelnych myśli. „O cóż mi chodzi."

O nic! o nic!

. . . .

Tymczasem odbywało się wszystko w pałacu Appelsteina według zakreślonego programu, który godziny wprawdzie nie zostawiał wolnej na te rozpaczliwe myśli, ale czyż myśli potrzebują czasu? Im go mniej mają, tem może więcej ogarniają, więcej bolą.

Bernard nie dał się, jak ona doszczętnie zgnębić jednem słowem i analizą jego. Usiłował zabawić gości, olśnić ich, pokazać im swoje życie, a i ich pokazać ciekawemu i pytającemu światu. Proszone śniadanie następowało po balu. Śpieszono się z obiadem dla opery, opuszczano ją pod koniec dla wieczoru. A wszystko to urządzonem było z niebywałą jeszcze dotąd nawet w pałacu Appelsteinów okazałością i zbytkiem.

Pani Starża upadała ze zmęczenia, ale Bernard ukląkł, prosząc ją aby asystowała wszystkiemu od początku do końca.

Edwardowa bojąca się dotąd, że nie znajdzie u tych szwagrostwa odpowiedniego jej miejsca, spostrzegła ze zdziwieniem, że odpowiedniejszem by ono było, gdyby trzy razy lepiej była urodzoną, niż się urodzoną być sądziła.

Przesuwali się około niej, w uprzejmościach przed Ireną tacy ludzie, o których jak o dynastach mawiano w domu jej rodziców. Taki hrabia Mikołaj, książę Oleśnicki, Ostoja i inni. Asystowała tej dziennej recepcyi Ireny, podczas której księżna szła za księżną, wyprzedzając księżnę, ustępując księżnie. Chaos wyobrażeń zapanował w jej ścieśnionej atmosferą utytu-

łowanego parweniusza głowie. Pierwszy raz zetknęła się z potęgą złota, z urokiem zbytku, z czarem kobiety, otoczonej świecącą aureolą na wielkiej arenie życia.

Nie mogła się połapać, nie mogła wyjść ze zdziwienia.

Nowy świat, świat kosmopolityczny, równający urodzenie z majątkiem, talentem, urodą, uznający jakiekolwiek potęgi, byle potęgi, otwierał się przed nią.

Studyowała to nowe zjawisko i dziwiła się swym małym, ciasnym, spaczonym dotychczasowym poglądom.

A ze zdziwieniem ogarniała ją zazdrość i niechęć. Zazdrościła Irenie, którą w swych dotychczasowych poglądach o tyle niżej od siebie stawiała na stopniach hierarchii społecznej.

Appelstein roztoczył taki przepych w tych przyjęciach, że najbliżsi niem zostali zastanowieni. Podczas jednego z obiadów, który nosił nazwę „obiadu rodzinnego,“ każda z dam zastała w swym kieliszku kwiatek, kwiatek pochodzący nie z oranżeryi, lecz ze sklepu jubilera. Pani Edwardowa dostała bławat z szafirów, który przedstawiał wartość kilku tysięcy rubli, jak twierdził Bywalski.

Irena była przestraszoną tym szałem męża, który robił to wszystko z chorobliwą werwą, a spoglądał wciąż na nią, ażali zadowolona, jakby ją tą powodzią złota usiłował silniej przywiązać czy przytrzymać.

Czyż ona uciekała, czy się wymykała? Wieczorem pytał jej:

— Jesteś zadowoloną?

— Bardzo!

— Jesteś szczęśliwą?

— Bardzo!—odpowiadała ofiara tych dni.

— Czy mnie kochasz?

— Zawsze...

I oddalał się do siebie, ale się nie kładł, bo Jakób Appelstein, z którego apartamentu okien widać było mieszkanie Bernarda, widywał w niem światło do późna, do rana.

Spytał raz Ireny nagle:

— Czy Bernard nie cierpiący?

— Dlaczego?

— Nie uważasz pani, że jest nie swój?

— Nic nie spostrzegam—skłamała Irena, ale się jeszcze więcej zatrwożyła.

Poleciła Bywalskiemu zbadanie sprawy. Bywalski powrócił do Jakóba. Ten mu udzielił swych spostrzeżeń. Kamerdyner zeznał, że bankier po całych nocach okładał zimną wodą głowę. Bywalski mimo poleceń Jakóba by to doniósł Irenie, zatrzymał to przy sobie. Pocóż było trwożyć kobietę? Uradzili z Edwardem, nic nie mówić. Może miał uderzenia do głowy, może gorączkę po tylu trudach, może kombinował jakąś manipulacyę złoto dającą? Bankierów *quasi* obowiązkiem było cierpieć na głowy z wytężeń umysłowych.

Na tem się skończyło.

A życie szło dalszym wirem, jak w fabryce parowej, z tą różnicą, że ludzie spełniali funkcye szaleńców i motorów, pałac Appelsteina był kotłem, a kantor z szeregiem kas główną lokomobilą.

Jakób w nim siedział i wypłacał, ze swą miną nieodgadniętą, zimną, obojętną, zdradzając tylko drżeniem nerwowem wygolonej wargi, niezadowolenie czy też chorobę, jak twierdzili kantorowicze.

Jakób nie brał prawie udziału w tem życiu tętniejącem w całym pałacu, ogarniającem cały personel gmachu. Zajęty był jak nigdy, pół dnia spędzał w karetce, uwijając się po mieście ze swą czarną teką, pół dnia w kantorze, w którym rano schodzący się kantorowicze zastawali porozrzucane książki, mokre pióra, połamane ołówki, porozrzucane papiery.

Po nocach pracował, czy badał, czy chodził, czy poprawiał? Ale go nikt nie widział tam nigdy. Tylko portyerowi zdawało się, że przez szczelnie zamknięte okiennice kantorów migotało czasem w nocy jakby światło.

Dziwiło go to, bo nie wierzył by Bernard, który miał komunikacyę wewnętrzną z kantorem, schodził doń po nocach, gdy salony na piętrze biły łuną świateł, a podwórze zapełniały uherbowane karety.

A jeśli się czasem pojawił w salonach, to straszył Irenę swym badającym fizyognomie wzrokiem, swą biernością, swem milczeniem, tem głębokiem wrażeniem czegoś, co się malowało w jego namiętnej, a powleczonej spokojem twarzy.

Ona go codzień silniej nielubiła, onaby go nienawidziła, gdyby nienawidzieć potrafiła. A ten brak sympatyi dotąd, przerodził się w niechęć, graniczył prawie ze wstrętem od owej fatalnej godziny, w której matka jej, wpatrzona w oblicze Leontynki, stwierdziła jej domysły.

Lulu była do niego podobną, a on był podobny do dziada, a dziad...

Nie mogła nań patrzeć. Twarz jego sprowadzała w jej duszy nawałnicę tych myśli, których genezy rozplątać nie mogła, a na które cierpiała. Ile razy się ich oczy spotkały, to Irena czuła jakby gwałtowny strumień wody, której źródła nie widziała, ani ujścia.

I w tej chwili stanęła jej w oczach ta dziecina, którą, zdawało się jej, mniej niż dotąd kochała, nad której niedolą cierpiała, jakby niedola miała być jej udziałem.

Nie rozumiała tych myśli. Tańczyły one jej po głowie; jak jakie wizye jasnowidzenia, ile razy wyrazisty i twardy wzrok Jakóba Appelsteina zetknął się z jej powłóczystem spojrzeniem.

Mogła go nienawidzieć; bo on w niej osłabiał miłość macierzyńską, tak silną, błogą, niebiańską — czuła to.

Chciałaby go nienawidzieć, ale za cóż?

— Za cóż?

Jakób był szwagrem bez zarzutu. — Domyślając się nawet może, że jej nie jest miłym, znikał, niemal ginął.

Ah! jakże ona zaczynała być nieszczęśliwą, w miarę jak siebie i swych uczuć rozumieć nie mogła.

Tak stały rzeczy w przededniu jeszcze wyjazdu rodziny Starżów, którzy nadspodziewanie długo zabawili w Warszawie.

W wigilię, nienasycony fetami Bernard, wymyślił wielki obiad pożegnalny na czterdzieści nakryć, mający zgromadzić wszystkich najbliższych pałacu Appelsteina, oraz tych którzy w ciągu tych kilkunastu dni uroczystości, zbliżyli się czy to do pani Starża, Edwardów czy Jesiołowskich.

Zaproszenia już były rozesłane.

W świecie opowiadano o tym obiedzie cuda. Miał to być obiad uroczysty i coś nadzwyczajnego.

Sam bankier szepnął to na ucho Bywalskiemu, a Bywalski puścił dalej.

Irena nawet miała być zadziwioną i dla niej miało to być niespodzianką.

VII.

Był to dzień obiadu.

Luccani latał jak szalony. Bo jego pan chyba waryował. Żądał od niego rzeczywiście niemożliwych rzeczy, niepodobnych! Służył on po wielu pańskich

domach, służył i u nababów finansów i w Paryżu u Amerykanów, niewiedzących co robić z milionami dolarów, ale nie spotkał się z podobnemi wymaganiami, z tą rafinadą sybarytyzmu, z tą drobnostkowością zbytku.

Był wzburzony.

Na kilka godzin przed obiadem, gdy on, marszałek dworu, był najbardziej zajęty przygotowaniem wszystkiego, Appelstein wydał mu rozkaz, który najprzód w jego głowie, a następnie w całym kredensie wywołał zamęt, oburzenie, bezład i dezorganizacyę.

Luccani sobie wyrzucał, iż nad rozkazem pana się nie namyślił i poddał go wykonaniu. Trzeba było odrazu się domyśleć, iż ten rozkaz był i w Warszawie niezwykłym, i że pan jego musiał przesadzić w wyszukiwaniach sybaryckich. Ale on zrazu sądził, że to się w Polsce praktykowało. Polecił rozkaz wykonać, wyznaczył ku temu jednego z lokai drugiego rzędu. Ten odmówił. Drugi odmówił. Luccani poszedł na skargę do Appelsteina. Bankier wpadł w furyę, rzucił się na sługę...

Ten niebywały, niepamiętny wypadek ogarnął popłochem służbę.

W kredensie mówiono głośno, że Appelstein zwaryował.

Luccani nie mógł sobie dać rady. Dwóch lokai się oddaliło i to w takim dniu, w takiej chwili, gdy w sali jadalnej ustawiano stół na czterdzieści osób, a nakrywano go serwisem saskiej porcelany, dopiero wy-

pakowanym z pak, na których widniały napisy „Roma.“

Bo z Rzymu pochodził serwis, jak Appelstein objaśnił Luccaniego i kosztował sto tysięcy rubli. A musiał to być serwis nielada, skoro go w swoim czasie darował król saski kardynałowi, czy samemu papieżowi. Tego już Luccani niedosłyszał z ust bankiera, a pytać mu się nie wypadało. Wiedział tylko, iż serwisu takiego nawet u Vandermasa, gdzie marszałkował przez całą zimę, nie było.

O godzinie trzy kwadranse na siódmą Irena już zjawiła się w oświeconych salonach, aby rzucić ostatnie *coup d'oeuil* na wszystko, jak to zwykła była czynić.

Mimo całego swego przygnębienia moralnego, z którego się otrząść nie mogła, spełniała światowe obowiązki z precyzyą i akuratnością, jak nakręcona maryonetka. Prawie nieprzytomna dnia tego, bo ją poprostu rozbierała dziwna melancholia, jakiej napadów dotąd nigdy nie znała, ubrała się i z pogodną, choć poważną twarzą, znalazła w apartamentach.

Chciała wejść do jadalni, aby skontrolować nakrycie, ale u drzwi stanął Luccani i rzekł:

— Wybaczy pani, ale pan prosił, bym pani nie wpuszczał... zapewne chodzi tu o siurpryzę dla pani...

Irena się uśmiechnęła machinalnie, prawie z przymusem, aby nie zrobić przykrości zażenowanemu Włochowi.

— Dobrze... zaczekam...

I rzuciła się na fotel. Jakże była zmęczoną i znudzoną. Appelstein znów robił jej — siurpryzę... Cóż ją mogło zadziwić, ucieszyć... gdy wszystko około niej jak w gorączce tańczyło, gdy siebie, siebie odzyskać nie mogła, a nad sobą wciąż, jakby w halucynacyi widziała, czuła chmurę ciężką, ołowianą, duszącą.

A nie mogła jej rozproszyć. Darmo powracała do przyczyny, będącej pierwszym etapem w jej smutku, darmo tłomaczyła sobie jej błahość, darmo w tym smutku konstatowała dowody pewnej nielogiczności swego własnego mózgu.

Wciąż słyszała słowa, głosem matki wypowiedziane:

— Istna żydóweczka...

Jakże one ją bolały. Ale dlaczego? Wszakże znała pochodzenie Bernarda, wszakże nieraz przypuszczała, jeszcze zanim to dziecię z jej łona wyszło, że może być podobnem równie dobrze do ojca, jak do niej.

Głuchy, zaledwie dochodzący turkot pierwszego ekwipażu wjeżdżającego w pałacową bramę, obudził ją z zadumy, wyrwał z przygnębienia. Powstała, westchnęła ciężko, boleśnie, rzuciła oczami w stronę lustra i ujrzała się cała w tej sukni królewskiej, którą sam Edward szkicował, w tych brylantach i kamieniach za krocie, w tym majestacie swej postawy, w tym blasku jej piękności.

Uśmiechnęła się z niewysłowioną goryczą. Cóż za ironia losu, by taka postać, takie zjawisko zbytku i rozkoszy cierpiało.

A przecież ona cierpiała.

I to cierpiała więcej, niż kiedykolwiek i to w tych właśnie dniach, od których tyle radości się spodziewała.

— Ha! — szepnęła, ruszając z miejsca głosem, w którym się odbijało cierpienie istoty nieprzywykłej jeszcze do rozmyślania nad życiem i jego igraszkami.

Tu Luccani wprowadzał strojnych gości, tam Bernard, uwiadomiony elektrycznym dzwonkiem, zjawiał się od strony swego apartamentu, tu znów schodzili się pałacowi domownicy, sztywny Edward na czele.

Obiad proszony wchodził w życie z całem swem decorum, z całą swą prostotą, o którą tak dbał Appelstein.

Zdawało się jej, że nie potrafi przywołać na oblicze stereotypowego uśmiechu. Probowała i zdało się jej, że muszkuły odmawiały posłuszeństwa.

Przestraszona prawie, zamiast posunąć się naprzeciw gości, którzy już mijali salony, uciekła do oranżeryi. Tu biła fontanna, puszczona w ruch podczas recepcyi i migotała kryształowemi blaskami do świateł i szumiała. Ten szum wody, żywiołu, dziwne sprawiał wrażenie w tem otoczeniu i nieraz już ocucił Irenę, czy to oszołomioną komplementami Korońskiego, czy odurzoną atmosferą salonu.

Zdjęła rękawiczkę, wyciągnęła dłoń pod prąd wody i zwilżała nią skronie i policzki.

— To coś innego—szeptała—to nie to. Ja muszę być chora... albo... albo mnie coś grozi... to przeczucie...

Oblicze jej się pochmurzyło.

— Przeczucie, przeczucie...—szeptała—ale czego, czego?

Nie mogła pojąć, by ją coś jeszcze spotkać mogło.

Usłyszała w przyległym salonie śmiechy gości, twarz jej ściągnęła się kurczem bólu fizycznego, obtarła koronkową chustką policzki, skronie, dłoń i ruszyła ku gościom.

Ale we drzwiach zjawił się Bernard, a wydał się taki inny, iż przystanęła zdziwiona. Chciała go zapytać, co mu jest, ale zanim usta otworzyła, bankier blady odezwał się głosem, którego także nie znała, jakby hamując rozdrażnienie, z jakiem do niej nigdy się nie zwracał:

— Wiesz, że tego nie znoszę. Goście już są. Pani domu czekać na nich winna, a nie oni na nią.

— Idę...—odparła cicho, zdziwiona, pomięszana, ogłupiała ostatecznie miną i tonem męża.

Jak przystoi i jak jest światowym zwyczajem, w jednej chwili salony się napełniły ludźmi, nie znającymi, jak jenerałowie, opóźnienia.

Zaledwie się ujrzeli w komplecie, zaledwie odetchnęli, a już zaczynało cichnąć w tem zgromadzeniu osób czterdziestu, bo każdy czekał, by Luccani uchylił podwoje od jadalni.

Nie byli głodni, ale tak wciągnięci w chomont

światowego życia, iż nie byliby w stanie teraz rozmawiać, tylko jeść.

Naturalnie w pałacu Appelsteina opóźnienia nawet minutowe były nieznane.

Siódma dzwoniła we wnętrzu zegara Louis XIV, pod bronzem, wyobrażającym Jowisza ciskającego pioruny, gdy podwoje się roztworzyły i łuna zajaśniała od świateł jadalni.

Parami z góry obmyślanemi, omawianemi, zanotowanemi przez Bernarda, przepisanemi przez Luccaniego, goście defilowali.

Irena nagle przystanęła z przestrachem na obliczu. Nie widziała Jakóba... Jeśli Jakób nie był, to z kim szła pani Amelia? Podniosła się na palcach i spotkała wzrok szwagra, maszerującego najpoprawniej.

Jakże ona była nieprzytomną.

— Co pani jest?—zagadnął książę Oleśnicki.

— Zdawało mi się, że nie ma pana Jakóba Appelsteina.

Gdzież tam. Jeden z pierwszych się stawił, *Vous avez des distractions.*

— Widocznie...

W chwili, gdy siadano do stołu, grobowe zapanowało milczenie. To nakrycie odjęło na sekundę wszystkim mowę. Z tych biesiadników, z których każdy codzień niemal siadał do innego stołu, nakrytego zawsze z przepychem, nikt jeszcze nie widział równie pięknej i bogatej dekoracyi:

Stół uginał się pod zastawą ze starej saskiej porcelany, do której garnituru należało piętnaście porcelanowych kandelabrów, każdy o pięciu świecach. Między każdemi dwoma talerzami stał świecznik. Ta porcelana cała znaczoną była przecudnie matowanemi herbami polsko-ruskiemi, należała więc do niewidzianych w tym komplecie rzadkości. Każdy niemal to wiedział, każdy znał się na wartości takiego kompletu, który wyrugował ze stołu słynną złotą zastawę Appelsteina.

— Co to? zkąd to?—zapytał Ireny Oleśnicki zapalony amator *bric-à-brac'u*—nie mieliście tego.

— Nie wiem, bo i ja to pierwszy raz widzę.

Zamiast do zupy rzucono się do talerzy. Pani Tytusowa odwróciła talerz i badała znaki, ażali to była porcelana staroczeska, czy królewska, czy *Maissen*, czy Marcolini. Koroński informował swoją sąsiadkę, on się znał na tem, jego matka miała coś podobnego, co król August darował podkomorzemu Korońskiemu. Nie mogli się uspokoić biesiadnicy. Serwis ten był piękniejszym od serwisu jaki przechowywano w *Grünes Gewölbe*, jaki świeżo widział hrabia Mikołaj w Dreźnie. Był większy od tego, który nabył po Napoleonie Rotszyld, a który znała księżna Drucka. Kandelabrów tylu nikt nigdzie nie pamiętał, cztery miały się znajdować u Potockich pod Baranami.

— *Est-ce possible?*

— *Est-ce vieux? contemporain?*

— *Incroyable...*

Appelstein musiał zabrać głos. Domagano się wyjaśnienia, żądano go nawet w tym świecie, udającym zwykle otrzaskanie z rzeczami niezwykłemi i nadzwyczajnemi, przyzwyczajeni do przepychu i tylko wyborowych, rzadkich okazów.

Ale to, ten serwis o kandelabrach na tuziny, o odpowiednich deserowych nożykach i widelcach, o konsolach podtrzymujących mandarinki i cukry metrowej wysokości wchodziły w kategoryę rzeczy, których, nie podnieść byłoby również w złym tonie, jak zauważyć szczerozłotą zastawę.

To musiał być historyczny zabytek.

— Kiedyś — mówił, ostatnią łyżkę bulionu połknąwszy hrabia Mikołaj zwracając się do Appelsteina — parę tygodni temu na zaręczynach panny Potockiej z Tulczyńskiej bugi, cała zastawa stołu była szczerozłota, po Szczęsnym, który ją sprawił, by przyjąć Stanisława Augusta, jedliśmy cały obiad tylko na złocie. Ale, przyznam się panu, nie zaimponował mi ten stół. Opowiadaj pan historyę tego, bo to musi mieć historyę, to należy do historyi.

Promieniejący Appelstein nagle poczerwieniał, odrazu głosu znaleźć niemógł, chrząknął parę razy i opowiadał:

— Tak, to jest serwis historyczny, zapisany w różnych archiwach, znany od dwóch wieków blisko, o który się ubiegały ukoronowane głowy, na który czychał Napoleon I, który on dostał podstępem... wypadkiem... zbiegiem okoliczności...

— Opowiadaj pan. Opowiadaj!—wołano.

— Ależ was znudzę. Po obiedzie... ciekawszym...

Wszyscy byli ciekawi. Ciekawym wyglądał nawet Jakób Appelstein, który jeżeli spuszczał dziwne, badające spojrzenie z brata, to po to tylko, by sekundę spocząć na obliczu nieoprzytomnionej Ireny.

Bankier opowiadał:

W r. 1731 August II kazał ten serwis wykonać, jako nadzwyczajny okaz swej słynnej fabryki, z zamiarem przewiezienia go do Polski, do zamku, mającego być ozdobionym i odnowionym na ucztę, którą miał w nim wydać. W r. 1732, młodziułki August III objeżdżał Europę i prezentował się u dworów, otoczony przepychem, odpowiadającym wymaganiom ojca, szafujący złotem, jak przystało na przyszłego elektora i króla Polski. W Rzymie nabożne królewiątko zapragnęło róży złotej od Papieża. Trudnem to było do przeprowadzenia, wobec wieku młodego królewicza, wobec politycznych wreszcie względów. Ale wszechmocnym w Stolicy Apostolskiej był podówczas kardynał Borghese, otaczający się zbytkiem monarszym, posiadający najpiękniejsze rzeczy w Rzymie, twórca pałacu, będącego chlubą i muzeum Rzymu, przetrwałego w całym swym blasku do ostatnich wczorajszych dni. Borghese obiecał wyrobić u Papieża „złotą różę,“ ale w zamian za serwis drezdeńskiej fabryki, taki piękny, jaki tylko zadysponuje. Królewicz obiecał i powrócił do Drezna. Tymczasem August II umarł nagle, polityka inny wzięła obrót, fundowanie

rezydencyi w Warszawie zeszło na drugi plan, a serwis równocześnie został wykończony. W tem przychodzi „róża złota“ z przypomnieniem kardynała. August III tak był uszczęśliwiony, iż bez wahania posłał Borghesowi ten serwis z własnoręcznym listem, w którym pisze: „Żądałeś ekscelencya serwisu bardzo pięknego. Posyłam ci piękniejszy, niżbyś mógł zadysponować, bo robiony przez króla dla króla, zastosowany rozmiarami do przyjmowania polskich panów, którzy są małymi królikami.“

Cisza, jakby wątpliwości, panowała w audytoryum.

Promieniejący Appelstein odczuł ją, bo dodał:

Teraz, gdy młody Borghese objął pałac, kupiłem ten serwis i z tym listem, w którym się znajduje i spis rzeczy. Czy uwierzycie, iż do tego spisu brakuje kilka sztuk zaledwie.

Byłbym go nie kupił, gdyby nie skąpstwo wysłannika królowej Wiktoryi, który chciał coś wytargować na zachwianym magnacie włoskim, mimo to, iż królowa kazała dać co zechce. Mój ajent skorzystał *d'un moment* i kupił *pour rien.*

Chciano już tu i owdzie przerwać bankierowi, już wiedziano wszystko, już chciano raczej komentować po cichu i kupno i mowę.

— Pozwólcie!—zawołał Bernard—jeszcze słowo. Mówiono mi, i to bardzo prawdopodobne, że serwis ten w ciągu półtora wieku dwa razy tylko był używany. Raz ugaszczał sam tenże kardynał zgromadzo-

nych kardynałów po obiorze papieża Benedykta XIV. Raz słynny Ludwik Borghese fetował Napoleona I, który się doń przymawiał. Trzeci raz, *si histoire est vraie*, ja przyjmując *ma chère belle-mère*...

Gwar zapanował nie do opisania.

Koroński prawie głośno zagadnął sąsiadkę:

— Nic dziwnego, prawdziwie wielcy panowie nie lubią pokazywać.

Któżby dosłyszał co mówiono.

Irena, której jeszcze książę nie zdołał ożywić, niesłyszała tej historyi serwisu, mającego być dla niej siurpryzą, słyszała tylko szum głosu męża. Wpatrzona w Jakóba Appelsteina, nie mogła oczu oderwać od niego, tak się jej wydawał dnia tego straszny, wstrętny a pociągający. A przytem tak ją intereresował nawałem myśli, które odgadywała pod jego czaszką. Obserwowała go cały czas, gdy Bernard mówił. Jego ruchoma fizyognomia co sekunda zmieniała wyraz i to wyraz poważny, znaczący, myśli pełny, ale ani razu nie mogła go uchwycić i zrozumieć. Wiedziała tylko, że coś strasznie męczącego mózg, kryło czoło Jakóba Appelsteina.

Odetchnęła, gdy Bernard skończył, gdy Jakób pierwszy raz drgnął, gdy musiała oderwać oczy, jakby przykuta do tej znienawidzonej, jeśli nienawidzieć mogła, fizyognomii.

Zresztą książę nie byłby jej pozwolił dłużej go badać, tego ponurego myśliciela, tego strasznego czło-

wieka, do którego podobniejszą była jej Lulu, niż do niej.

Przy Jakóbie siedział Bywalski, jako domownik.

— Niewiedziałem—szepnął—że Bernard jest takim historykiem, pamięta daty... hm... hm...

Jakób uśmiechnął się mimowoli, ale zaraz spoważniał.

— Wiesz, czego wam niewymownie zazdroszczę...

— Czego?

— Tej obojętności, tej zimnej krwi, z jaką po świecie fruwacie. Na pogrzebie, zdawałoby się, przyjaciela, ty masz na ustach *le mot pour rire*. Wy wszyscy...

— Na pogrzebie?

Jakób nic nie odparł, a Bywalski nałożył monokl, odwrócił się do sąsiada, przypatrzył mu się i umilkł, tak dalece zamyślony, iż dopiero po chwili się zmiarkował, że nie dokończył wyłowienia ostatniej trufli z resztek wybornego sosu.

Wkrótce wszystkich ogarnął dobry humor, idący ręka w rękę z wyborną kuchnią i zacierający najgorsze i najoporniejsze usposobienia.

Ale tym razem sztuka kulinarna nie odniosła tryumfu nad Ireną i Jakóbem.

Irena co chwila zatapiała się w sobie, w swych czarnych myślach, które wirowały niepochwytnie jak motyle, migały, znikały i ni ztąd ni zowąd powracały.

Raz wraz musiał ją formalnie budzić hrabia Mikołaj. Wtedy ruchem całej połowy korpusu otrząsała się, opuszczała bezmyślny prawie wzrok czy to z Bernarda, czy z przed siebie i tkwiła go w usiłującym ją rozbawić sąsiedzie. Ale dziś najzabawniejsze koncepty tego salonowca i *causeur'a*, zwykle ją przykuwające, niezdołały przytrzymać jej chorej wyobraźni.

— Co mi jest?—pytała sama siebie.

I powracała do wyniku, stającego się *idée fixe*, powracała wciąż i coraz częściej do konkluzyi, że jej anormalne usposobienie było przeczuciem.

— Ale czego?

Czasem i sama usiłowała się połapać, opędzić, uchwycić i opanować, i głowa ją bolała od tych wysiłków.

— Czy zbytek światła pana nie razi?

— Nie, oświetlenie jest warunkiem *entrain'u* — odpowiedział hrabia, niewchodzący w stan sąsiadki.

— Czy ten gwar obiadów, to skupienie dokoła stołu tylu głosów, tylu myśli, nie oddziaływa na pana?

— Nie, lepiej się rozmawia w tym chaosie rozmów. Światowiec, to żołnierz. Ci podobno najlepiej zabijają w chwilach gorącej walki.

A więc ona jedna była inną. Hrabia jej nawet nierozumiał. Ale wreszcie i on ją odczuł.

— Jesteś pani dziś usposobioną nieobiadowo.

— Zdaje się panu—odparła przerażona, że może sąsiada i gościa nudzi. Te kilka słów zelektryzowały ją jak hasło wyścigowego konia. Czego nie mogła

dokonać siła woli, dokonała niezmierna potęga światowych zasad, nieubłagana pani swych adeptów i hołdowników. W jednej chwili rozpierzchły się myśli i zawiązała ożywiona rozmowa z hrabią.

W drugim końcu stołu teraz dopiero odetchnął Jakób Appelstein, który ją przez cały czas trwania obiadu obserwował. Zwracając się do Bywalskiego rzekł:

— Pani Irenie coś brakuje. Niepamiętam jej w takiem usposobieniu. Teraz dopiero odzyskała się nieco...

— Nieuważałem...

Jakób się znów uśmiechnął.

— Jakim sposobem, powiedz mi, trafia się właśnie w świecie największy procent obserwatorów?

— Bo najwięcej mają do obserwowania *des subtilités humaines*...

— Chyba nie—podchwycił Jakób.—Wy jesteście tak zajęci sobą, iż nie widzicie nic. A ten zmysł obserwacyjny, jaki się u was trafia, jest poważnym.

— Jakto?

— Siłą obserwowania siebie nabieracie go w tak wysokim stopniu, iż mimowolnie wytwarzacie go nieco w sobie. Dziś dopiero rozjaśniło mi się, dlaczego wszyscy wielcy obserwatorzy byli tak szalonymi egoistami.

— Czyż?

— *Balsac, Maupassant, Merimé.*

— Kiedyż ty czytasz?—wtrącił Bywała.

— Gdy ty trawisz.

— Ho! ho!—odparł Bywalski podrażniony.—Nagle dobrodusznie się uśmiechając odparł. — To musisz bardzo dużo umieć. A kiedy obserwujesz?

— Siebie rzadko.

— A innych?

— Gdy ty siebie.

Urwali.

Po chwili Appelstein zagadnął bardzo cicho Bywalskiego.

— Przypatrz się Bernardowi.

— Co?

— Nieuważasz nic?

— Nic! a co?

Jakób mówił nie spuszczając oczu pełnych wyrazu smutku i troskliwości z brata.

— Niepokoicie mnie. Nigdy go takim nie pamiętam, jak od kilku dni. Uważałeś jak był blady siadając do stołu, teraz jaki czerwony.

— Wino.

— A przytem co chwila się mieni, roztargniony, gorączkowy, wesoły, zamyślony...

Mówił to powoli, równocześnie badając, przypominając sobie. Bywalski mu się przypatrywał i przerwał, w jakimś napadzie uznania, tonem rozegzaltowanym, a więc mu niezwykłym:

— Co jest u was pięknego, to przywiązanie rodzinne.

— U nas—podchwycił Jakób—to jest niby u żydów.

Bywalski syknął.

— Coraz więcej mi przypominasz Szekspira.

— Ha! bardzo słusznie i pochlebiasz mi.

— Jak w Szekspirze jesteś zagadkowy.

— Bo między wami, zawsze doznaję wrażenia, że jestem na dramacie.

— No dziś...

— Więcej niż kiedykolwiek...

— Fi, fi...—syknął Bywalski—bardzo cię lubię, ale sobie wypraszam twoje sąsiedztwo obiadowe. Fatygujesz umysł, nie znoszący pracy przy stole... To zasada dobrych obiadowników, choćby oni byli sobie, jak ty, myślicielami. Każdą rzecz podnosić, każdą badać, obracać... fe... Ja tak lubię zasypiać umysłowo pod koniec obiadu. To tak błogo.

— Przecież nic nie powiedziałem... — zaczął się tłomaczyć Jakób, lekko zdetonowany tonem Bywalskiego.

— Nic, nic, a dużo... Trzeba ci wiedzieć, że ja także myślę i czuję, ale nie lubię, by mi ktoś ciągle w struny szturkał.

— A więc masz struny?—szepnął Jakób, skierowując badający wzrok na sąsiada.

— Mam, ale całe życie je głaskam a nie prztykam w nie. Omijam tych, coby w nie...

— Przepraszam cię więc. Podaję ci ananasy w lodzie cukru *ça calme*...

— Takie rozmowy można prowadzić od biedy przy zupie, ale przy deserze—mówił Bywalski, wybierając z pomocą monokla najpełniejszy plaster owocu—przy deserze, gdy żołądek się układa i uspakaja dla godnego przyjęcia kawy i dymu cygara. Jesteś jeszcze za młody by pojąć, co to jest uczucie żołądka spodziewającego się kawy i łaknącego dymu cygara. Patrzysz na mnie, jak na durnia... A ja ci mówię, *ça viendra* i nie życzyłbym ci, by nie przyszło.

Jakób słuchał tak uważnie tej allokucyi, jak nigdy może Bywalskiego. Już nic nie odparł, bo się głęboko zastanowił. To życzenie Bywalskiego, czy nie miało swojej głębi?

Wśród hałasu i zgiełku poprostu, wstawano od stołu.

Jakóbowi, który wciąż śledził zatrważającego brata, zdawało się, iż Bernard wstając od stołu, zachwiał się. Pobladł i wytrzeszczył oczy. Ale bankier się wyprostował, ręką czoło pogładził, oczy kilka razy przymknął i otworzył. I podał ramię księżnej Druckiej.

— Może za wiele wypił — uspakajał się Jakób i przeszedł za innymi.

— Ale kiedy on prawie nie pił — znów sobie przypomniał.

VIII.

Wkrótce po obiedzie nastąpiła znana amatorom proszonych obiadów, digestya fizyczna i moralna. Najzapaleńsi zwolennicy rozmowy z damami, *fleartów* i t. p., woleli wyciągnąć się na fotelu, dać odpocząć umysłowi i popijając likiery czy czarną kawę, popaść choćby chwilę w stan bezwładności umysłowej.

To też i Irena, która w świecie nigdy nie bywała osamotnioną, uczuła wrażenie niewymownej rozkoszy materyalnej, widząc się samą na poduszce fotela. Mężczyźni bawili jedni w fumoirze, drudzy przy damach, ale o niej, szczęściem zapomnieli.

Wyciągnęła się niemal na krześle w stylu Ludwika XVI, którego kształty genialnie epoka ta obmyśliła w celu podziwiania wdzięków kobiecej postaci. Ręce bezwładnie, ruchem pełnym miękkości, położyła na poręczach fotelu, a połową korpusu oparła się na poduszce, jakby wykrojonej i wymierzonej do obnażonych pleców.

Było jej dobrze fizycznie, a i fizycznie czuła się zmęczoną. To wrażenie może sprawiło, że i myśli jej straciły na gorączce i nie zadawały jej w tym stopniu, co poprzednio, cierpień.

Rozglądała się bezmyślnie i kształtowała dalej swój anormalny stan. W salonie gorzało sto świec najmniej, a jej się zdawało, iż atmosferę napełniał

jakby dym, czy para, że było ciemno. Te same myśli, te same nieokreślone niepokoje kołatały się po jej głowie, ale jakoś spokojniej, ciszej... Znużenie fizyczne odbierało im rzeczywistość i gwałtowność.

Było jej dobrze. Słaba jej głowa nie znosiła tej natarczywości wyobraźni, uderzającej w jej mózg.

Ot tak, takie błąkanie się wrażeń nie było tak bolesnem, jakkolwiek nie przestawało być wciąż cierpieniem.

Przypomniała sobie z dzieciństwa podobny stan do obecnego, gdy po ataku silnej gorączki leżała we względnej bezwładności, zdając sobie sprawę z tego, co się dokoła niej działo, ale niezdolna do badania przyczyn, lub skutków.

Pamiętała, iż lubiła ten stan niemocy, będącej rekonwalescencyą, wypoczynkiem naprężonych nerwów.

Musiała być albo chorą, albo choroba ją czekała.

Wkrótce nie mogła sobie zdać sprawy z obecnego położenia rzeczy. Wiedziała, że jest u siebie po obiedzie, ale czy to dopiero co się obiad skończył, czy od tego czasu minęło kilka godzin? Gdzie byli goście? Tam siedziała hrabina Korońska, tam pani Paryska, bawił ją Ostoja. Pamiętała, że Koroński wyszedł do fumoiru z Edwardem. Przez otwarte podwoje widziała w trzeciej sali grupę rozmawiających, których poznawała.

Ale gdzie była reszta? kto był w tej reszcie? Kogo brakowało?

Te pytania sobie zadawała, ale one jej nie męczyły. Niezaspokojone, ustępowały innym.

Coraz była nieprzytomniejszą, coraz jej było lepiej.

Czyżby za dużo piła? Nie przypominała sobie. Byle komu na myśl nie przyszło teraz ją bawić. Byle ten stan się przeciągnął. Byle się nikt nie ruszał...

Wtem nagle wzdrygnęła się. Coś zewnętrznego ją oprzytomniło. Ale co? Przed chwilą widziała, ale na razie nie zauważyła, że Jakób Appelstein, wezwany przez lokaja, prędko się oddalił z salonu z dziwnym wyrazem na twarzy. Wkrótce później, przypominała sobie teraz dopiero, Luccani szepnął coś na ucho Edwardowi, który też się z salonu wysunął. Potem Bywalski przebiegł przez salon, rzucając na nią ukradkowe, pomięszane spojrzenie.

To wszystko na razie wydawało się całkiem naturalne. Teraz zaś nagłe, nadzwyczajne, niepokojące...

W jednej chwili oprzytomniała.

Po co wołano Jakóba? po co Edwarda? co znaczyło spojrzenie i wyjście Bywalskiego?

Ale co sprawiło, że ona to teraz dopiero sobie przypomniała, co ją obudziło z odrętwienia?

Nie wiedziała.

Ale teraz, zdawało jej się, że słyszy jakieś bieganie w dalszych zakątkach pałacu, że słyszy szepty i dalekie głosy, rozkazy...

Coś nadzwyczajnego się działo, albo ona miała malignę...

Chciała wstać. Nie mogła.

Ależ wszyscy siedzieli na swoich miejscach, bawili się, śmieli, rozmawiali...

Musiało się jej zdawać. Była chorą, chorą obłożnie.

Ależ ona wyraźnie słyszała niezwykłe rzeczy w pałacu, gwałtowne zamykanie drzwi, bieganie po schodach, po dalszych komnatach.

Mylić się nie mogła. Chciała się dowiedzieć. Nie było nikogo w salonie, na kogoby skinąć mogła, ani Edwarda, ani matki, ani siostry.

Chciała wstać, ale jeszcze nie mogła. Nogi jej drżały, pot występował na czoło.

Wtem zauważyła, iż grupa mężczyzn, którą z miejsca swego wciąż w trzecim salonie widziała, poruszyła się. Wśród gestów się rozbiegli.

Nie było wątpliwości. Coś się stało. Może wewnętrzny pożar w pałacu?... Służba musiała upuścić kandelaber?...

Uczuła się nagle lepiej. To może był tylko pożar...

. . . .

To może Leontynka?

Wstała, odzyskując siły w jednej sekundzie.

Szybko pośpieszyła przez szereg salonów do sypialni dziecka.

— Lulu!—krzyknęła.

Francuzka wytrzeszczyła zdziwiony wzrok.

— Zdrowa! Jest tu... ot... *Mais parfaitement.*

Rzuciła się na krzesło.

Ten pokój graniczył bliżej z prywatnemi apartamentami. Tu wyraźniej słyszała niezwykły ruch w pałacu.

— Cóż znaczą te hałasy, nie słyszysz pani?

— Owszem, słyszę.

— Co to?

— Służba zajęta zapewne sprzątaniem ze stołu.

— Ależ to być nie może!

— Często tak bywa.

Odetchnęła. Lulu spała. Tam się coś działo. Mówiły jej to nerwy wydelikacone, rozstrojeniem do bajecznej czułości pobudzone...

Ale Lulu spała...

Padła bezwładnie na krzesło i odpocząć chciała.

Słyszała wyraźnie głos Bernarda, podniesiony, gwałtowny, dziki, ale głos Bernarda.

— To pan krzyczy?

— Nic nie słyszę.

— Jakto, nie słyszałaś pani mego męża, jakby w jego pokoju?

— Słyszałam głos jakby jakiś głośniejszy rozkaz. Luccani często krzyczy, a dziś jeszcze miał jakieś nieporozumienie ze służbą.

— Ależ głos mego męża! Ot, teraz! teraz! słyszysz pani?

— *Je n'entend absolument rien.*

Irena się zerwała i wybiegła.

Leciała prosto ku oddalonym pokojom męża najkrótszą drogą, do klatki schodowej, z której prowadził korytarz i wejście do pokoju bankiera.

W przedpokoju wszelka wątpliwość ją opuściła. Coś się działo, odgadła to z min ugalonowanych lokai, czekających na swych państwa, bawiących się tam.

W westibulu usłyszała znów, tym razem wyraźnie, jakiś dziki krzyk przeraźliwy, w którym poznała głos Bernarda.

Bezprzytomna biegła po dywanie ku gabinetowi męża, z którego głosy te dochodziły. Wtem stanęła.

— Pilnować panią Irenę!—wołał rozkazująco i rozpaczliwie Jakób Appelstein, wybiegając z Bywalskim właśnie z gabinetu mężowskiego.—Czy ona się nie dowiedziała. Na miłość Boga, Bywalski! pilnuj niech drzwi pozamykają, by ona nie usłyszała...

Ten głos zginął w przeciwnym końcu korytarza tegożsamego, w którym stała Irena. Blada, ledwie się na nogach trzymająca, oparta o ścianę, bezsilna do zrobienia kroku.

Ona ich nie widziała, bo pobiegli w przeciwną stronę, oni jej niewidzieli, bo przystanęła przy samym zakręcie sieni.

— Co to znaczyło? Co to znaczyło?

Oparła się silniej, aby nie upaść, w głowie jej szumiało tak, iż nigdy sobie później przypomnieć nie mogła, czy w tej, dość długo trwającej chwili, dzikie głosy Bernarda dalej ją dochodziły.

Nagle, Edward biegnąc ztamtąd, zkąd i ona przybyła, stanął przed nią, spostrzegłszy ją w ostatniej chwili.

— Ty tu? szukam ciebie.

Pierś Ireny tak gwałtownie falowała, iż długo nie mogła przemówić.

— Co się stało?—wyszeptała wreszcie.

Edward już usiłował ją uprowadzić.

— Nic... nic... Bernard lekko zasłabł. Posłano po doktorów... Jakób tam jest, Bywalski... książę... Mnie polecili ciebie pilnować.

Irena się oparła, nie chciała dąć się uprowadzić, mimo nalegań i wysiłków brata.

— Książę, Bywalski, Jakób? Tam ja pierwsza być powinnam...

— Ależ nie można, dziecko!... zaczekaj.

Nastąpiła chwila milczenia. Edward nie wiedział, co począć z tą upadającą, a opierającą się kobietą. Irena znów ruszyła się z miejsca, opierając się na jego ramieniu i skierowując ku pokojom bankiera.

— Ależ Ireno!

Kobieta przystanęła.

— Cóż to znaczy?—zapytała poważnie, wpijając w brata, wzrok pełen pytań i trwogi.—Cóż to znaczy? Puść mnie! Już iść sama mogę.

Wtem huknął z pokoju bankiera jego dziki, furyi pełen głos.

— Aaaa!—krzyknęła Irena, rzucając się naprzód.
— Co to?
— Ireno!
— Puszczaj!
— Ireno!... twój mąż zasłabł, uderzenie do głowy —szeptał Starża—widzieć go nie możesz, nie możesz!
— Muszę!
— Nie możesz!
— Puść mnie!
— To atak na mózg. Jest w furyi! — zawołał zrozpaczony Edward wobec gwałtownego wydzierania się Ireny.

Kobieta całym ciężarem opuściła się na Starżę.
— Zwaryował... zwaryo...wał... o Boże mój...
Już była wyczerpaną. Z największą łatwością uchwycił ją Edward w objęcia i uniósł do jej pokoju...
W westibulu spotkał się z tłumem gości, wychodzących ze zwykłym pośpiechem, jaki wywołują katastrofy wśród fety.

Rozstąpiły się wystrojone i ubrylantowane damy.
— *Pauvre Irène, pauvre Irène!* — wołały głośno, by je słyszał Starża, by je słyszała ona, przytomna widocznie. Wszak atak apoplektyczny, to nie śmierć. Jutro mogły się znów otworzyć podwoje pałacu, z którego teraz wychodzili. Trzeba było okazać współczucie w tem przewidywaniu.

Na dole zapanował nowy popłoch. Pokazało się, że po doktorów rozesłano ekwipaże gości.

Tu dopiero wyjaśniła się nieco katastrofa. Ten lokaj to usłyszał, tamten owo podsłuchał.

I ci nawet, których ekwipaże stały gotowe w podwórzu, zatrzymywali się. Tworzył się rodzaj rautu w olbrzymim przedsionku, na dębowych renesansowych ławach i stallach.

Każdy był ciekawy, nad wyraz ciekawy. Wszakże tu chodziło o życie Nababa Warszawy, o życie amfitryona, o życie wreszcie męża kobiety, której przed chwilą zazdroszczono śmiertelnie wiszących na niej kosztowności, obliczanych na krocie!

Zresztą ta teatralna dramatyczność zdarzenia pobudzała ciekawość nawet obojętnych na katastrofy. Po proszonym obiedzie, po takim obiedzie!

Tu dopiero przypominano sobie różne szczegóły, tu komentowano dziwny smutek Ireny, wygląd Appelsteina.

Co minuta rozchodziła się w tem pachnącem, eleganckiem zgromadzeniu nowa pogłoska, nowy komentarz.

Wypadek był groźny, bo Jakóba Appelsteina widziano, jak wybiegł z komnaty bankiera, wołając pomocy, a szeptał do Bywalskiego:

— Wszystko skończone, jak kiedyś mówiłem, bankructwo kieszeni i głowy.

Rozesłano dziesięć karet po dziesięciu najznakomitszych eskulapów.

Powóz, posłany po Chałubińskiego, wrócił pró-

żny, gdyż doktór leżał w łóżku. Natychmiast książę Oleśnicki pojechał go z łóżka wyciągnąć.

Co chwila galopem wjeżdżała w bramę kareta. Wyskakiwał z niej to ten, to ów doktór i biegł na piętro, z tą zaaferowaną miną widywaną tylko w podobnych wypadkach, gdy chodzi o życie człowieka, stojącego na świeczniku finansowym, gdy ocalenie daje sławę w wielkiem mieście,

A z piętra co moment wychylał się przez poręcz schodową Jakób Appelstein, i to rozkazywał, wołając nowe nazwisko doktora, to pytał, czy jeszcze który nie nadjechał, czy przynajmniej koni z nim pędzących nie widać w ulicy.

Widocznie więc chodziło o minuty.

Tu dopiero się dowiedziano, że to był atak na mózg, objawiający się obłędem połączonym z furyą. Tu dopiero opowiadano, że bankier kopał, tłukł i rozbijał, a o mało nie zabił Luccaniego. Tu wreszcie powtarzano sobie szeptem i śmiano się do rozpuku nad wersyą, jakoby obłędu wielkiego bankiera pierwszym symptomem było, iż jeszcze rano dnia tego kazał lokajowi ciągle kamieniem stać z bibułą w urękawicznionem ręku w pewnem miejscu...

Nie mogli się rozejść. Obiad był nieudany, ale digestya nigdy nie była lżejszą i krótszą.

Wreszcie, gdy karety z doktorami powróciły, przyzwoitość nie pozwalała tym maruderom bawić dłużej na pobojowisku.

Pałac Appelsteinów ogarnęła złowroga cisza, w której echem swobodniej się rozlegały krzyki furyata, przed godziną jeszcze najwyszukańszego z dżentelmenów.

XI.

Nazajutrz Irena leżała w łóżku. Bernard pozostawał pod najściślejszym nadzorem doktorów, którzy obiecywali go delatywnie ocalić. Zresztą nie wypowiadali się. Postanowili niezwłocznie wyprawić go do Kaltenleitgeben. Jeśli nie wykonali tego nazajutrz po katastrofie, to przez wzgląd na Irenę, która bezwarunkowo chciała mu towarzyszyć, a nie była w stanie tego uczynić natychmiast.

Pani Starża pozostała przy córce. Edwardowię wyjechali, nie mogli ani godziny zabawić dłużej. Jesiołowski opuścił pałac Appelsteinów, pozostawiając żonę.

Zresztą wszyscy się rozbiegli.

— Uciekajmy — miał się wyrazić hr. Mikołaj do Bywalskiego — zaczynają tutaj powiewać przeciągi katastrof.

Stary Bywalski podobno pierwszy raz w życiu nie dezerterewał ze stanowiska w finansach. Powta-

rzano sobie jego odpowiedź młodziutkiemu hrabiemu:

— Ja jeszcze nie mam reumatyzmów.

Najdziwaczniejsze obiegały pogłoski po mieście. Jedni przypisywali atak interesom formalnie zachwianym. Krążyła bajka, że podczas obiadu dostał Appelstein depeszę od Bleichrödera z Berlina, wypowiadającą kredyt.

Inni twierdzili, że Bernard schwytał żonę, jak się pozwalała całować Korońskiemu.

Czego nie wymyślono na gruzach tej tropikalnej egzystencyi. Bo uważali ją niektórzy za pogrzebaną. Czyby doktorzy po mieście więcej mówili niż w pałacu? niż bratu, reprezentantowi po Bernardzie firmy zbyt poważnej, by się mogła liczyć z delikatnościami rodzinnych uczuć.

Weksle Bernarda, które nazajutrz po wypadku przedstawiono do dyskonta bankowi państwa, tenże odrzucił, prosząc o kilka dni zwłoki.

To jedno dawało do myślenia, że pogłoski o upadku były przedwczesnemi ale i bardzo poważnemi.

Irena nie wiedziała nic, prócz tego, że jej mąż niebezpiecznie chory, że musiała być za dzień, za dwa najdalej w Kaltenleitgeben.

Była zresztą nieprzytomną. Pierwszy grom z dziedziny rzeczywistego życia uderzył w nią i oszołomił ją, jak piorun podróżnego, padający z pogodnego nieba.

Nie powracała do równowagi i nie siliła się jej odzyskać. Byle mogła wyjechać, byle mogła dowieźć do miejsca ocalenia człowieka, do którego czuła więcej przywiązania niż sądziła, do którego ją przykuwały święte obowiązki którychby lekceważyć nie potrafiła.

Drugiego dnia po południu oznajmiła, że może wyjechać natychmiast. Oznajmiła to Bywalskiemu, który nie opuszczał pałacu. Ponieważ stan bankiera był straszny, ponieważ się obawiano każdej chwili nowego ataku, przeto podróż mogła się odbyć tylko osobnym pociągiem.

O wszystkiem tem myślał blady Jakób, biegający jak widmo, zdradzający wewnętrzną gorączkę tylko przyśpieszonem nieco tempem swego chodu.

Co się pod jego czaszką działo, nikt nie odgadywał, a śledzili go kantorowicze, bankierzy, wekslarze, wszyscy. Wszakże on od lat czterech był ukrytą głową firmy, sprężyną olbrzymiego werku.

— Co on myśli? co on pocznie?

O godzinie trzeciej po południu zapadła decyzya, że Appelsteinowie tego samego dnia wyjadą wieczornym pociągiem.

O godzinie czwartej wszystko było do podróży gotowe, pociąg zamówiony, personel służby ułożony. Appelstein jak monarcha wyjeżdżał do hydropatycznego zakładu z Francuzką i Leontynką, z Luccanim i dwoma lokajami, doktorem i z pania Jesiołowską.

Projekt ten ułożył Jakób, Bywalski przedstawił Irenie, a ona go zatwierdziła.

Gdy Jakób go udzielał Bywalskiemu, tenże zauważył:

— Po mieście mówią, żeście zachwiani. Ty kilka dni temu to samo mi napomknąłeś. A dziś wyprawiasz Bernarda, jak...

Jakób machnął ręką.

— Bankier czasem musi robić głupstwa. Ot i teraz. Zresztą robię to dla pani Ireny. Jakże strasznie ukarana, a co ją czeka...

— Co?—podchwycił Bywalski przerażony.

— Mąż idyota w najlepszym razie, i...

Bywalskiemu się zdawało, że niedokończył, bo mu łzy zatamowały gardło.

Ale prędko się opanował.

— Z panią Ireną muszę pomówić. Proszę cię, przygotuj ją do tej ciężkiej chwili. Będzie ona przykrą. Ona mnie tak nie znosi.

— Nie znosi?

— Nie-na-wi-dzi!—powtórzył, sylabizując dobitnie Appelstein.

Bywalski nie przeczył.

O godzinie piątej Jakób znalazł się naprzeciwko Ireny.

— Muszę z panią otwarcie pomówić, choćbym ranę jej miał rozjątrzyć. Przywiązanie, jakie pani okazujesz memu bratu, nie pozwala mi być z panią in-

nym. Uważam panią dopiero od wczoraj za żonę jego...

Irena poczerwieniała.

— A dotąd uważałeś mnie pan?

— Dotąd uważałem panią za żonę Appelsteina milionera. Od wczoraj dopiero uważam panią za żonę Bernarda Appelsteina, bankruta imie...

Nie dokończył, bo mu głos zadrżał.

— Jesteś nią pani?

Irena długo milczała, załkała dwa razy, ale opanowała się. Nie chciała płakać przed tym człowiekiem, którego jednego w życiu nie cierpiała.

— Jestem i będę—odparła krótko.

Jakób długo milczał. Wreszcie, jakby po strasznej walce, stoczonej sam z sobą, zawołał cicho.

— Muszę!

I milczał.

— Muszę!—powtórzył szeptem.

— Słucham. Nie oszczędzaj mnie pan. Może zasłużyłam. Cóż mnie jeszcze czeka?

Jakób odchrząknął i nagle tonem suchym, obojętnego przemysłowca zaczął:

— Bankructwo Bernarda, to jest nie Bernarda, tylko firmy „Appelstein i Spółka,“ a spółka to ja, zdaje mi się być rzeczą nieuniknioną. Ale sądy jej nie ogłaszają i nie ogłoszą prawdopodobnie tak prędko, bo sądy biorą się do faktu dokonanego, a wielki gmach nie wali się odrazu, tylko pierwej drży, rysuje się... Ten koniec przewiduję od lat dwóch i miałem

nań cały obmyślany projekt. Z chwilą, gdyby Bernard upadł, postanowiłem wziąć sam na siebie firmę i uratować jej cześć i honor, uratować ci jedno pani, tobie, coś mu zaufała, to jest uczciwe imię... Wypadek wczorajszy postawił mnie nieprzygotowanego w pozycyi trudnej, z której nie wiem, czy wyjdę. Ja przecież nie mogę ogłaszać upadłości niepoczytalnego brata i muszę dalej wirować w błędnem kole, w którem lawiruje firma. Dotąd poświęcałem mój majątek. Od dziś angażuję mój honor. Nie mogę ogłaszać upadłości Bernarda, boby mógł, wyzdrowiawszy, zarzucić mi przedwczesny pośpiech. A Bóg mi świadkiem, że w tem byłoby może zbawienie jego i moje. Nie wiem, czy pani wiadomo, jak jestem do brata przywiązany. Nie wiem, czy pani się domyśla, jak cierpię nad jego stanem. Nie wiem, jak głębokiem jest dlań uczucie pani. Nie wiem więc, jak panią zranię tem co powiem, i jak to pani zrozumiesz.

Irena pobladła jak chusta. Serce jej się ścisnęło. Sam głos Jakóba twardy, pewny, krajał jej słuch i wnętrzności.

On ciągnął.

— Szczęściem byłoby dla mnie, dla pani, dla tego dziecka — tu wskazał zimnym ruchem drzwi od przyległego pokoju—by nigdy nie wyzdrowiał.

— Aaaa!—krzyknęła Irena.

Jakób wstał i ciągnął, jakby przez ściśnięte gardło:

— Ale wszystko, co będzie w mej mocy zrobię, by wyzdrowiał i zastał firmę w tym stanie przynajmniej, w jakiem ją zostawił. I pani wszystko zrobisz. I doktorzy wszystko możliwe uczynią. Decyzya ich nie każe na siebie długo czekać. Jest to choroba z której się wychodzi takim samym, albo idyotą. Choroba ta nie trwa długo. A ja obliczyłem się mniej więcej i może potrafię zażegnać burzę finansową do powrotu waszego z Kaltenleitgeben.

— Więc gdy, przypuśćmy, zdrów powróci, czeka go tu bankructwo?—zawołała Irena wstając.

— Jeśli wyzdrowieje, to się nie zmieni.

— Jesteś pan katem, a nie bratem.

Appelstein nie drgnął.

— I taką mi przyszedłeś dać otuchę na te ciężkie chwile, które mnie czekają?...

Załkała, mówić nie mogła.

— Uważałem to za swój obowiązek. Jeślibyś kiedyś nie mogła śmiało spojrzeć w oczy pierwszemu lepszemu hultajowi, nie powiesz, żem cię nie przestrzegł. Jeślibyś kiedyś widziała swą ciężką a niezmytą plamę błędu jej ojca, powiedziałabyś, iż byłem łotrem, żem cię nie ratował.

— Ha, ha, ha! — zaśmiała się Irena — więc po prostu proponujesz mi pan, by... by...—urwała, bo głosu jej brakowało, ale zaraz podchwyciła: — bym się przyczyniła, iżby Bernard pozostał waryatem! ha, ha, ha! Wychodź pan! Wychodź, bo skonam... — wołała w rozpaczy, łkając i zanosząc się od tłumionego płaczu.

— Obyś mnie nigdy nie zrozumiała.—odparł zimno Jakób i ciągnął: — Jeśli pani to dziś mówię, to dlatego, iż jesteś jedyna, która w razie rekonwalescencyi mego brata, możesz się przyczynić do uzdrowienia go moralnie. On nie od wczoraj waryował. On waryował od lat czterech. Jeśli doktorzy go ocalą i oddadzą takim, jak był przed kilku dniami, przed rokiem już, dawniej, to wiedzże, że oddadzą ci waryata moralnego, goniącego pośpiesznem tempem do ruiny majątkowej i moralnej. Bilansu jeszcze nie zrobiłem. Wiem, że dotąd mnie rujnował, mnie! Czy już nienaruszył świętego mienia tych, co mu zaufali, niewiem. Ale wiem, iżby go jutro, gdyby wczoraj nie zachorował, naruszył. To wiem!

— Wychodź pan!

— Jeszcze słowo. Czekają panią trzy alternatywy: Albo będziesz mieć męża waryata, albo bankruta z tego gatunku, albo się stanie cud, który tylko kobieta jak ty, kochana i dobra, przeprowadzić przy pomocy Bożej byś mogła. Wtedy odzyskałabyś Bernarda takim jakim był, gdy cię poślubiał.

— Więc ja go?... ha, ha! Ulituj się pan i wyjdź!

Appelstein się skłonił i jeszcze dodał:

— Powtarzam, „obyś mnie nigdy niezrozumiała...“

Wyszedł, pozostawiając Irenę w stanie rozdrażnienia, jakiemu ją życie jeszcze nigdy na pastwę nie rzuciło.

X.

Jakób Appelstein siedział w swem prywatnem mieszkaniu z Bywalskim, który zagłębiony w fotelu pokrytym czarną skórą, raz po raz ziewał.

Siedzieli przy olbrzymim mahoniowym stole, oświetlonym jedną wiszącą błyskawiczną lampą, a zasłanym księgami o płóciennych zielonych okładkach, papierami poliniowanemi i gdzieniegdzie pokrytemi delikatnie wypisanemi cyframi.

Jakób notował, liczył, dodawał, mnożył, trzymając cygaro w ustach a ołówek w ręku.

Bywalski puszczał kłęby dymu. Przed obydwoma stały filiżanki czarnej kawy. Byli więc po obiedzie.

Bo odkąd państwo Bernardowie wyjechali do Kaltenleitgeben, odkąd opustoszał pałac Appelsteinów, Bywalski częstym był gościem Jakóba. Jego tu ciągnęło przyzwyczajenie, czy też może z niego wyrodzone przywiązanie do tego domu, nawiedzonego nieszczęściem. Jakób zaś nietylko znosił Bywalskiego, ale nawet polubił jego towarzystwo. Polubił go od ostatnich dni fet w pałacu, w ciągu których odkrył w starym Bywale, pod powłoką pieczeniarza, człowieka zdolnego myśleć i cierpieć, mogącego kochać i przywiązać się. Odkrył, że Bywalski był obdarzony głębszą, logiczną i trzeźwą inteligencyą, którą jednak dobrowolnie i rozmyślnie w sobie tłumił gwoli

wygórowanej jego, w starokawalerstwie wydoskonalonej gastronomii umysłowej, jak ją nazywał.

A pierwszy raz odkrył w nim człowieka widzącego, obserwującego i zdolnego do refleksyi podczas owego obiadu, gdy się na niego formalnie zirytował, że gó zmuszał do pracy mózgu i serca.

A pierwszy raz odkrył w nim człowieka serca w tych kilku dniach następujących po katastrofie, w których Bywalski nie opuszczał Ireny i jeden w całej Warszawie wziął do serca wypadek.

Zbliżyli się więc ci dwaj ludzie, którzy od lat widywali się codzień, a tak daleko byli od siebie. Zbliżyli się i polubili, Jakób Appelstein pogardzający Bywalskim, tym pieczeniarzem finansów, jak go cicho uważał, i Bywalski, rozumiejący zawsze Jakóba. On bowiem nie zadał sobie nigdy pracy ocenienia go, bo w głębi swych przekonań uważał za największą anomalię w świecie ludzi tego rodzaju, jak brat bankiera, z tej samej może racyi, z jakiej twierdził, że nonsensem są w świecie prawdziwe perły i kamienie.

Wszakże głośnym był jeden z jedynych dowcipów Bywalskiego, który podczas jakiegoś wielkiego występu *high lifu* powiedział:

— Gdy widzę tyle fałszu, wierzyć nie mogę, by te kosztowności były prawdziwemi.

Dość, że się zbliżyli, jedną z tych częstych igraszek sympatyi, najczęstszych między ludźmi sobie nieodpowiednimi. I tak się polubili, iż Jakób jadł bez apetytu swój obiad, gdy Bywalski naprzeciwko niego

nie siedział, a Bywalski opuszczał obiady „u pomniejszych żydów," jak się wyrażał, by być z Jakóbem.

A te obiady może były dobre, ale nie były zabawne. Appelstein myślał z wytężeniem i połykał, a Bywalski jadł. Appelstein liczył i notował, a Bywalski palił i ziewał.

Jaką Jakób znajdował przyjemność w trzymaniu przy sobie Bywalskiego, a jaką tenże w śledzeniu wysiłków umysłowych bankiera, niewiadomo.

Dnia tego nagle, jak zwykle, znudzony długiem milczeniem gość, zapytał:

— I cóż?

— Co?... co?... poczekaj...

Zliczył ostatnie cyfry, odłożył ołówek, rzucił się na poręcz krzesła i przetarłszy zmęczone, lśniące, białe, olbrzymie czoło, rzekł:

— Nie miałem pojęcia, co to jest ruina. Śledząc jej pochód, bieg, zdaje mi się, iż widzę szalone rozpędowe koło, które coraz szybciej się obraca, które porywa wszystko, co na swej drodze napotka, które raz rozpędzone, nie jest do powstrzymania, a ruchem swym wprawia w ruch tysiące innych kółek. Niby zwyczajna maszynerya, z tą jednak różnicą, iż każda maszynerya ma werk, którym tego szaleńca w jednej chwili wstrzymać, czy zwolnić można, a ta go nie ma i funkcyonuje tak długo, dopóki się nie rozleci, nie rozkołacze, nie zgruchocze.

Czy uwierzysz, że przeglądając te rachunki, kombinując analogiczne daty olbrzymich wydatków

i olbrzymich strat, badając ich przyczyny i skutki, doznaję fizycznie wrażenia, jakbym szum i klekot tego szalonego a psującego się koła słyszał. Dotąd surowiej sądziłem Bernarda. Dziś pół winy mu zdjąłem z bark. W tej maszyneryi, która się zowie „ruiną,“ rzeczywiście nie ma sposobu wstrzymać koła, którego każdy obrót posuwa zniszczenie.

Zapalił się i ciągnął:

— Cóż to za głębokich studyów dostarcza każda rzecz badana objektywnie, hm! hm!...

— Nie rujnował się kupnem naszyjnika czy serwisu, nie sumą, jaką to kosztowało, tylko tem, że go kupował, że ją w danej chwili wydawał. Czy rozumiesz to?

— Niby...

— Firma mogła wytrzymać, że Bernard wydawał rocznie, przypuśćmy milion, ale nie mogła wytrzymać, że go wydawał. Rozumiesz to?

— Nie.

— Zacytuję ci przykład — zawołał Appelstein, jakby tak niewymownie zależało na tem, by go zrozumiał Bywalski, który nigdy finansowych stron życia nie badał. — Dnia 8 sierpnia tego roku, Bernard kupił naszyjnik ten, co wiesz, z rubinów w Paryżu i polecił telegraficznie przekazać sobie pół miliona franków. Dnia 7 sierpnia z intuicyi gienialnej myśli Bernarda, który je miewał, kupiła firma tysiąc akcyi kłodeńskich. Że zaś nazajutrz wysłała pół miliona do Paryża, nie była w stanie w dniu 9 sierpnia zapła-

cić akcyi, i zredukowała swoje kupno do 700 sztuk. W dniu 15 akcye w skutek przewidzianej przez Bernarda kombinacyi, poszły w górę tak, iż firma na niekupieniu tych 300 sztuk straciła stotysięcy rubli. Czyli byłaby zarobiła tyle, ile kosztował naszyjnik gdyby go Bernard kupił o 5 dni później. A tak straciła firma zadatek na 300 akcyach wynoszący 30,000 rubli.

Czyli rozumując: na tem, że Bernard wypłacił naszyjnik w tym dniu, w którym go reprezentant firmy Appelstein kupować nie powinien, straciliśmy trzydzieści tysięcy, a nie zarobili dwakroć. Reprezentanta firmy stać było na ten naszyjnik, i byłby go kupił pięć dni później za swój czysty zysk w tych pięciu dniach osiągnięty.

Czy to nie jest oszołomiające?

— Rzeczywiście...

— Bankier może być tylko bankierem. Wogóle każdy człowiek może być tylko tem, czem jest. Inaczej fiasco.. A takich przykładów tysiące, każdy... niemówiąc już o tych nabytkach ostatnich czasów, o tym serwisie, który kosztował dziesięć razy tyle, jak mi wypłacono. To prawo natury, to prawo, na zasadzie którego, każdy literat jest złym agronomem, każdy...

Urwał, zaśmiał się swym suchym, ale inteligentnym śmiechem i zapytał:

— Ty rozumiesz maniaków?

— Hm... dlaczego nie.

— Ja nie rozumiem ich, ale mnie interesują...

Tu Jakób się zamyślił i zakrył oczy dłonią.

Cisza trwała długo, i on ją przerwał:

— Powiedz mi, co będzie, jeśli Bernard wyzdrowieje, a potem, potem... naturalnie zbankrutuje... na wielką skalę, pociągając za sobą setki ludzi, setki ofiar?...

— Czyż to nieuniknione? — zapytał niemal podejrzliwie Bywalski, któremu Irena udzieliła treści swej rozmowy ze szwagrem i strasznego, wyniesionego z niej podejrzenia. Światowiec stary znał się nieco na ludziach i nie wierzył, by Jakób pragnął zupełnego zidyocenia brata, ale też dlatego właśnie, że znał się nieco na ludziach, a zagłębiać nie lubiał w tajnikach psychiatryi, niekoniecznie wierzył, by młodszy brat gorąco pragnął jego rekonwalescencyi. — Czyż to nieuniknione? — powtórzył.

Jakób nic nie odparł. Zamyślił się głęboko. Wstał najwidoczniej podniecony paroksyzmem wewnętrznej gorączki, pochodził po pokoju, przystanął i zawołał z proroczą emfazą w głosie:

— Wierzę, że można zmienić koryto rzeki, że można przenieść górę... Gdybym mógł uwierzyć, że można zmienić charakter człowieka ostatecznie w pewnym kierunku wycieniowany. Gdyby Bernard...

Machnął ręką i nie dokończył. Czyż warto mówić, dyskutować? Czyż możliwem było z jego pojęciami przypuścić, że człowiek nie wypłacający zobowiązań, a płacący tego samego dnia sto tysięcy rubli za serwis, potrafi być bankierem? Czyż możliwem

było przypuścić, że człowiek w ostatnich dwóch latach trawiony podejrzliwością o najuczciwszą żonę, potrafi być zimnym rachmistrzem i szczęśliwym kombinatorem? Czyż możliwem było łudzić się, że człowiek już upierający się przy tak błachych i śmiesznych rozkazach, jak ten, który w dniu katastrofy wywołał zaburzenie służbowe, potrafi być reprezentantem poważnej firmy bankowej.

Westchnął, a myśli, rzucające się pod jego wyniosłem czołem, obrały nagle inny kierunek.

Znamiona, cechujące wytężoną pracę mózgu, znikały z jego ostrych semickich rysów, a pokrywał je wyraz spokojnej zadumy, nieskończenie bolesnej i cierpiącej.

Nagle przystanął przed Bywalskim również zadumanym nad dziwnemi igraszkami losu, których tyle już w ciągu swej światowej karyery widział i zapytał:

— Ale co pocznie Irena?

Bywalski podniósł głowę, przypatrzył się Jakóbowi i nic nie odparł.

— Co pocznie Irena?

Bywalski wzruszył ramionami.

— Co ty myślisz?... co pocznie Irena?

— Nie wiem...

Śmiech sarkastyczny rozległ się w salonie, śmiech suchy, twardy, ale wyrazisty Jakóba Appelsteina, ten śmiech rzadki, który ranił niewypowiedzianie słuch Ireny, który, jak nieraz Bywalskiemu mówiła, był pierwszą przyczyną jej niechęci.

— Jak to? Jesteś od kilkudziesięciu lat—zapytał go, krzyżując ręce na piersiach — przyjacielem rodziny Starżów, nosiłeś na rękach Irenę!... i nie wiesz, co ta kobieta w tym wypadku pocznie?

Bywalski się zirytował. Głównie nie chciał myśleć a zresztą dręczył go sarkastyczny śmiech przyjaciela.

— W jakim wypadku?—fuknął.

— W wypadku bliskim, najprawdopodobniejszym, prawie nieuniknionym, który przeczułem, jeśli sobie przypominasz, w wypadku, w którym się zobaczy z mężem idyotą, bez majątku, bez domu, bez rodziny, tylko z dzieckiem—żyda—ha, ha!

Zaśmiał się, aż Bywalskiego dreszcz przeszedł po ciele. Ale ten dreszcz go zbudził z letargu. Podniósł się na krześle i zawołał:

— Przesadzasz, bo przecież majątek jakiś mieć będzie.

— Wątpię, chybaby go chciała ukraść kredytorom.

— Rodzinę ma...

— Ha! Nie idziesz kochany Bywalski daleko w twych widokach. Jesteś krótkowidzem. Rodzinę? Jaką? Matka zdziecinniała. Można jej nie liczyć w tym względzie, o którym mówimy. Edward? ha! ha! *allons donc*. Nie udawaj przedemną głupiego. Był złym bratem, gdy za to braterstwo płaciła. Nie będzie żadnym, gdy...

Urwał i dodał innym, smutnym bezmiernie tonem:

— Ja mam oczy, widzisz, by patrzeć, mózg, by myśleć. Mnie nikt nic nie mówił i nigdy niczego niebyłem ciekawy, ale wiem wszystko.

Bywalskiego przestraszył Jakób Appelstein.

Co minuta odkrywał w nim człowieka coraz przebieglejszego, coraz bystrzejszego. To go przerażało, jak zwykle niewypowiedzianie przestraszają słabych, silne, trzeźwe, bystre i zimne inteligencye. Chciał kres położyć tej rozmowie, która go męczyła, zabijała, bo dotykała tak bezwzględnie jedynej osoby, do której się na stare lata, prawie ojcowskiem przywiązał uczuciem—Ireny! Czuł obiad cały, tu pod dołkiem i cierpiał fizycznie. Krew mu się wzburzyła, uderzyła do głowy, oblała spokojne i blade oblicze.

— Ha! będzie miała dziecko. To wielu matkom wystarcza.

Jakób się znów zaśmiał.

— Dziecko, pannę Appelstein, bez posagu! Jej ma to wystarczyć, jej przesiąkniętej jak gąbka przesądami waszego świata, wychowanej u Starżów, popsutej i ostatecznie zgangrenowanej atmosferą, jaką *high life* warszawski przez lat sześć wpuszczał do tego pałacu... ha, ha! Jesteś dziś zanadto naiwny.

— A więc daj mi święty spokój! — huknął Bywalski, którego ten niebywały wysiłek głosu dużo kosztował, co też odbiło się w jego rysach.

Jakób objął je spojrzeniem, ulitował się nad

poczciwym używalskim, który raz w życiu wyszedł z zimnoty przywiązując się do jego bratowej i na to, aby z tego powodu teraz cierpieć. Cierpienie jest trucizną na każdy organizm inaczej działającą.

Bywalski utonął nazad w krześle, a Appelstein chodził po komnacie. Obaj zatopili się w zadumie tak głębokiej, że czas upływał, zegar wybijał kwadranse, a posuwające się wskazówki nie zmieniły nic w ich zachowaniu się.

Nagle Bywalski się obudził i zastanowił. Coś go obudziło. Ale co? Obudził go Jakób, który coś bardzo wyraźnie i dziwnie rozpaczliwym tonem wypowiedział.

— Co on wypowiedział?

Bywalski nie rozumiał tego, ale dosłownie jeszcze słyszał i machinalnie zapamiętał.

— Co ja pocznę -- wyrzekł był Jakób chodząc po pokoju—co ja pocznę, by Bernard przynajmniej tej kobiety tak strasznie, tak okrutnie nie oszukał?

A było to wypowiedziane tak desperackim tonem, zdradzającym tyle pracy mózgu nad tem pytaniem, że siłą swą hypnotyczną nietylko obudziło mozolnie zasypiającego Bywalskiego, ale i zaciekawiło:

— Coś mówił?—zapytał.

Appelstein przystanął zdziwiony.

— Nie mówiłem nic—odrzekł.

— Czyżby mi się śniło?—pomyślał Bywalski.

Nie śniło mu się, bo zaraz Jakób znów zapytał,

uznawszy, iż w wysiłku umysłowym mógł zacząć głośno myśleć.

— Może co i mówiłem? Nie pamiętam.

Bywalski milczał.

— A co słyszałeś?

— Nic. Pewnie mi się zdawało — skłamał Bywalski — ażeby nie powracać do przedmiotu.

Wtem zapukano do drzwi.

— Wejść—zawołał Appelstein.

Wsunął się lokaj i podał mu depeszę. Rozerwał ją nerwowo, drżącą ręką, blady Jakób, odczytał i rzucił Bywalskiemu szepcząc:

— Sta...ło się.

Bywalski czytał taki telegram doktora z Kaltenleitgeben.

— „Brat nieuleczalny. Częściowy paraliż. Dalsza kuracya zbyteczna. Żona nie wie i nikt z nas jej nie uprzedzi. Przybyć!“

— Biedactwo!—szepnął Bywalski i westchnął...

Wśród grobowej ciszy zdało mu się, że jest sam, że Jakób się wysunął, bo nie słyszał ani jego kroków, ani oddechu.

Odwrócił się więc za nim. I wtedy Jakób nie mógł się już powstrzymać i zaszlochał głośno, spazmatycznie, tak jak go już raz Bywalski słyszał, po śmierci ukochanego ojca.

Uszanował ten żal i zamyślił się nad dziwną naturą ludzką, nad tem, czy prawdopodobnem było

podejrzenie nieszczęśliwej Ireny, tak nieszczęśliwej a tak lubionej, że żaden z zimnych doktorów Kaltenleitgeben nie chciał brać na siebie powiedzenia tej ślicznej i młodej kobiecie, że pozostanie żoną sparaliżowanego idyoty.

On dalej myślał, a Jakób łkanie tłumił.

XI.

W osobnym przedziale salonowego wagonu pierwszej klasy pośpiesznego pociągu, pędzącego od granicy do Warszawy, siedziały cztery osoby: Appelstein, Irena, Francuzka z dzieckiem i Bywalski.

Bernard drzemał w kącie z przymkniętemi oczami. Irena czytała romans francuzki. Obojga rysy wyrażały dostatecznie, co i jak w ciągu tych dwóch miesięcy przecierpieli, czy przeżyli. Bernard utył i wyglądał niemal lepiej, niż podczas ostatniego w Warszawie obiadu. Irena zestarzała się o lat dziesięć tem zestarzeniem nie wieku lecz cierpienia, trwogi, bezsennych nocy, zawiedzionych nadziei, strasznych myśli szczególnie zadających ciosy wyglądowi pięknej i młodej kobiety. Lulu spała na ręku Francuzki.

Bywalski jednakże najwięcej się zmienił i wy-

glądał najbardziej zgnębiony, najnieszczęśliwszy. Nie pogodniała nic twarz, choć pociąg pomykał ku Warszawie, gdzie go czekały jego czterdziestoletnie przyzwyczajenia, do których tęsknił uczuciem zwierzęcia. Te kilka dni w Kaltenleitgeben go zmordowały na długo. Przeczuwał to, gdy się tak Jakóbowi wypraszał, by go zwolnił z tej misyi. Teraz błędny wzrok zapuścił w przesuwający się smutny krajobraz i myślał nad swoją niedolą, tymczasem ściśle złączoną z niedolą bliźnich. Co on przeżył? Gdyby był wiedział, że Irena niczego się nie domyśla, ani nieuleczalności męża, ani nieochybnej ruiny, nie byłby nawet zmiękł w tej decydującej chwili, gdy Jakób Appelstein ukląkł przed nim i błagał:

— „Jedź ty, przygotuj ją. Ty lepiej to potrafisz. Ona mnie tak nienawidzi. Zrób to dla niej, nie dla mnie. Ja jestem bankierem, ja nie umiem mówić z kobietami, ja...“

Wtedy on, Bywalski, przystał i pojechał do Kaltenleitgeben, by się wywiązać ze zleceń Jakóba. Wywiązał się? Odwoził rodzinę do Warszawy, odwoził Irenę do małych Tuilleryi, ale Irenę tę samą, nie wiedzącą, że powraca do stolicy, by asystować ogłoszeniu połowicznej upadłości firmy „Appelstein i syn,“ by spakować swoje manatki, by oddać na łup wierzycieli i masy te przepyszne salony, w których królowała. A wszakże on miał ją o tem wszystkiem uprzedzić. Ale nie uczynił tego, nie uczynił nic zgoła i to go trawiło, jak jeszcze nic nigdy w życiu. Ale nie mógł.

Ile razy zbierał się przygotować Irenę choćby tylko do powiedzenia możliwości materyalnej zmiany, tyle razy brakło mu odwagi i siły. Ta kobieta już tak była umęczoną tym zdziecinniałym mężem, cierpieniem, które się w niej dusiło, straszną przyszłością, na którą może sama zasłony uchylała. Nie wiedział nawet, jak się wziąć do tego.

Nie mógł uwierzyć tej ironii losu, która mu kazała lat temu sześć zmuszać Irenę do oddania swej ręki Appelsteinowi, milionerowi i która dziś, dziwną igraszką, jego wybierała za zwiastuna tej kobiecie ruiny Appelsteina. Zresztą okoliczności nie składały się potemu. W Kaltenleitgeben prowadziła Irena dawne życie, teraz, jak panująca, jechała salonowym wagonem jednego z głównych akcyonaryuszów i dyrektorów.

Wszakże upadłość Bernarda była jeszcze tajemnicą, zaledwie w gabinetach może rywalów przewidywaną ewentualnością, była *un coup d'état*, który w swej olbrzymiej finansowej czaszce gotował i ważył Jakób Appelstein, by uratować firmę i jej honor, by odzyskać część choćby mienia, które mu Bernard stracił, by zapewnić jaki taki posag tej Lulu, która bez posagu byłaby konieczną ofiarą ojca, by módz dać egzystencyę tej kobiecie, która przyjmując nazwisko Appelsteina, sądziła się być na zawsze zabezpieczoną od troski o chleb.

Spojrzał na Irenę.

Irena czytała ze swym spokojem na obliczu wielkiej damy, którą dotykać mogły nieszczęścia, ale nie nędza. A tak do nich nie stworzoną wyglądała, w swych olbrzymich soliterach w uszach, w swem wydelikaceniu zbytkiem i komfortem.

I on miałby jej powiedzieć, że ją czekała ruina, ruina zupełna, kompletna, bo taką tylko rozumiał Jakób Appelstein, taka tylko przystała bankierowi, a nie szubrawcowi.

Nie!

I rozpaczliwie się wykrzywiał Bywalski i przecierał monokl i zaciskał wargi, ale milczał. A pociąg wciąż pomykał, po minucie zatrzymując się na stacyach, pomykał tem regularniej może, że maszynista wiedział, iż jedzie nim wielki Appelstein, a nie był wtajemniczony w sekrety bankierskich gabinetów Rotszyldów i Bleichröderów.

Kombinował to wszystko Bywalski i mimowolnie uśmiechał się gorzko i ironicznie, ile razy na stacyach zauważył fizyognomie naczelników, zerkających do jego wagonu, gdzie siedział, jak myśleli, pierwszy władca ich posad, awansów i gratyfikacyi, prezes rady nadzorczej, legendowy Nabab kolejowy.

Cóż za ironia!

Siedział tak, siedział, myślał Bywalski, spoglądając na bezmyślne oblicze Bernarda i zatapiając się w zagadkach losowych, które mu się nigdy tak plastycznie i wyzywająco nie narzucały.

Tak siedział bezmyślnie, nie zdający sobie spra-

wy z niczego już od dwóch miesięcy, ten człowiek, którego w tej chwili jeszcze setki ludzi, tysiące uważały za najpotężniejszą materyalnie i intelektualnie osobę w Warszawie.

I jutro, może nie jedni z tych ludzi, dziś chciwych jego spojrzenia, skinienia, mieli się dowiedzieć, że ich w ten czy ów sposób zarwał, oszukał, zawiódł.

Cóż za straszny los bankierów, cóż za ironia w tem zestawieniu równoczesnych chwil w życiu wielkości i potęg.

Spojrzał na Irenę. Możeby się jeszcze dało choć jednem słówkiem uprzedzić ją, przygotować do tego, co ją czekało? Może to nawet było koniecznem przez wzgląd na nią? Może tam w Warszawie, w ciągu tego tygodnia nieobecności, stosunki się naprężyły, może Jakób nie zdoła już dłużej utrzymać *status quo?...* Wpadał w gorączkę trwogi. On był zawsze sumienny. Mało obiecywał i rzadko, ale jeśli obiecał, to dotrzymał.

Nagle pobladł.

Wyobraźnia rozgorączkowana, rozdrażniona przesunęła przed oczami obraz, widziany lat temu kilkanaście, który pierwszy raz dziś tak wyraziście mu się nasunął. Było to w 1873 r. podczas wielkiego krachu wiedeńskiego. On jechał do Karlsbadu na Wiedeń. Na dworcu, na peronie czekał na pociąg, mający go zabrać. Z pociągu tego wyskoczyła elegancka kobieta, pełna *brio,* wesołości, a wiał od niej dostatek i komfort.

W tem przyskoczyło do niej jakieś indywiduum, rzemieślnik z wyglądu i zaciskając groźnie pięść, zawołał z wściekłością:

— *A! mein Geld, mein Geld!*

Kobieta nie rozumiejąc uciekła. On zaś tak był zaintrygowany, drastycznością przejęty, iż poszukał informacyi i dowiedział się, iż damą tą była powracająca z wód żona bankiera, którego upadłość ogłoszono przed godziną.

Bywalski zadrżał. Gdyby coś podobnego miało spotkać Irenę. Uwiadomić ją o tem, o czem uprzedzić on obiecał solennie Jakóbowi...

I błagająco spojrzał na nią.

Irena odłożyła książkę, spoważniała, pomyślała i zagadnęła:

— Pan, kochany panie Bywalski, masz mi coś do powiedzenia i to już oddawna.

— Rze...czywiście...

— To mów pan. Czyżby był przedmiot, któryby ze mną trudno ci przychodziło zacząć?

— Jest wi...docznie...

Po tych odpowiedziach, po tem jąkaniu mieniącego się przyjaciela, odgadła, że coś ważnego przed nią ukrywa.

Wstała blednąc niedostrzegalnie, bo była bladą.

— Bernard śpi—szepnęła—przejdźmy do drugiego przedziału...

Wyszła pierwsza. Za nią ruszył Bywalski.

— Mów pan prędko. Czuję katastrofę, a to przeczucie jest mi przykrzejsze od najgorszej pewności.

Usiadła, raczej upadła na aksamitny fotel i rzekła:

— Zresztą, cóż mnie jeszcze więcej spotkać może?

I jakby w obawie, by coś całkiem niespodziewanego o nią nie uderzyło, mówiła dalej, ta słaba istota:

— Może mi pan chcesz powiedzieć, że doktorzy Bernardowi nie robią dobrych nadziei... Domyślałam się tego, ale nie chcę o tem myśleć, nie mogę... Obudziło się we mnie jakieś samozachowanie... Umiem już nie myśleć o tem, coby mnie zabiło... Natura wie co robi... Ja mam tak słabą głowę... Jeszcze jeden taki dzień, jak ten obiad, a zwaryowałabym... czuję to... Pan Bóg dobry... *double ma dose de banalité...* Czy pan uwierzysz, że się robię coraz banalniejszą? nie to, ale taką powierzchowną. Czuję, że pływam po wierzchu tej wody, w którą bym się wgłębić mogła, ale to zagłębienie mnieby zabiło... Chciałeś mi pan powiedzieć, że Bernard może nie wyzdrowieje? Ha! Bóg tak zrządził. Może zasłużyłam...

Rozpłakała się i dodała:

— Ale i za to Bogu dziękuję, że nie cierpi, bo on nie cierpi?—zapytała.

— Nie.

— Co za szczęście w nieszczęściu. Bo gdyby on cierpiał... Mówię panu, że jest dziwny porządek w zrządzeniach losu. Gdyby on cierpiał, to jabym

zwaryowała, a Lulu...—zaszlochała i skończyła—A jam przecież tak dla Lulu potrzebna, niezbędna.

— Pani Ireno — szepnął przez łzy stary Bywalski...

Uspokoiła się, i mówiła gorączkowo:

— Bo powiedz mi pan, za co ja zostałam ukaraną? Czy za to, że wyszłam za Bernarda? Ależ mówię panu, że gdym u stóp ołtarza klękała, byłam do niego bardzo przywiązaną. Czyż nie widzimy kobiet, wychodzących zamąż bez gorącej miłości? Za cóż ja tak strasznie zostałam ukaraną?

— Pani Ireno! — bełkotał tylko Bywalski truchlejąc, by się znów nie rozpłakała, a on łez nie znosił.

— Bo przecież to ja zostałam ukaraną, przecież to jasne. Bernard nawet nie cierpi... Zresztą on taki dobry, zacóżby on? Ale powiedz mi pan, za co ja? Zdawało mi się zawsze, że się znam. Czy pan mi uwierzysz, iż ja nie wiem... Przecież ja złą być nie mogę? Szukam i nie znajduję. Owszem, owszem, miałam myśli próżne, chciwe, złe... ale myśli tylko i to jeszcze zawsze je odpychałam, zawsze zwyciężałam. Wytłomacz mi pan tę straszną karę...

— Pani Ireno?

— Ah!—westchnęła kobieta tonem niezmiernego cierpienia i mówiła dalej:—Ah! doprawdy, panie Bywalski, *mon esprit s'égare*. Jaką być trzeba, by uniknąć ręki sprawiedliwości?

Nastąpiło milczenie. Przerwała je Irena po dłu-

giej pauzie, gdy pociąg zatrzymawszy się na jednej ze stacyi, ruszał dalej.

— Ale pan jeszcze masz mi coś do powiedzenia.

— Ja... tak... niby... Ale pani tak wszystko bierzesz do serca, tak nie rozumiesz życia...

— Nie rozumiem życia—powtórzyła z ironią kobieta.—Mów pan, mów prędko .. wszystko...

— Prędko? wszystko? Bez jednego i drugiego się obejdzie. Chciałbym ci, pani Ireno, oszczędzić wiele, ale czyż to w mojej mocy? W mojej mocy jest tylko ostrzedz cię, przygotować... Uderzenie będzie słabsze, bo...

— Uderzenie? jeszcze? Przygotować? do czego? --pytała wytrzeszczając wzrok błędny.—Mówże...—jęknęła.

— Bernard interesa pozostawił w opłakanym stanie. Czeka cię...

— Przygotował mnie już do tego Jakób, przygotował w tym dniu, w którym już tyle cierpiałam. Ześlizgnęło się to po mnie, jak po lodzie. Nie myślałam o tem... Zresztą cóż począć? Bernard... Jestem łódką, którą rzuci wiatr, gdzie zechce. Wiatr? Jakób! Więc pan mówisz, że upadniemy?—ruszyła ramionami. —Alboż ja wiem co to upadek, ruina?

— Bankiera!—dorzucił Bywalski.

— To niby bankructwo. Znam słowo, ale nie znam prawie jego znaczenia... więc cóż to będzie?

— Sam nie wiem, ale w każdym razie jestem pewny, że Jakób zrobi wszystko możliwe, by ocalić czy-

stość twego i jego nazwiska, by ci uratować byt... —westchnął, zastanowiwszy się nad tym bytem pani Bernard i dodał:—względnie dobrobyt.

— Jakób! — zawołała Irena, wstając i przysuwając się do okna. Tu czoło przyłożyła do szyby i mówiła; — Jakób? ha, ha! Ależ to było jego marzeniem, wszystkie jego życzenia spełnione. Bernard... ruina!

— Jesteś pani uprzedzoną.

— Sam mi to powiedział. Sam mi to powiedział, że ostanie swojej fortuny widzi tylko...

Rozpłakała się.

— Nie mógł tego powiedzieć.

— Więc ja kłamię?

— O swojej fortunie nie mógł mówić, bo jej już niema.

— O firmie!

— A to co innego.

Irena nie zrozumiała. Zaraz podchwyciła:

— Ja tego nie rozumiem. Ja nie chcę tego rozumieć, bo i pocóż? Zrobi zemną co zechce. Ah! cóż za los, cóż za los! — zawołała z wybuchem buntującej się przeciw uderzeniom cierpienia duszy — cóż za los! zależeć od jedynego człowieka, którego się nie lubi.

— A który cię ceni, szanuje i... jak siostrę kocha.

— Ha, ha!—zaśmiała się, by zaraz urwać i zmienionym głosem podchwycić: — Ja mam tylko instynkt i nim się kieruję. Ja walczę z sobą, ale go nienawi-

dzę... Nielubiłam go zawsze, ale go dziś nienawidzę od...

— Odkąd? Za co? — zapytał Bywalski, spoglądając jej prosto w oczy z taką siłą magnetyzującą swych zwykle bezwyrazistych oczów, że zmusiły one Irenę do głębszego zastanowienia się nad tem pytaniem. Za co, ona nienawidziła? Odkąd?

. . . .

Myślała, starała się myśleć. Różne wspomnienia błyskawicami jej przelatywały przez głowę. Nagle stanęła jej w oczach Lulu, której oczy codzień ciemniały, włosy codzień się skręcały...

— Nie wiem! — zawołałała, ale takim tonem, który Bywalskiemu odjął wszelką chęć bronienia sprawy Jakóba.

Tymczasem Irena jakby uspokojona, usiadła na swojem miejscu i zagadnęła z dziwnym spokojem:

— A teraz powiedz mi pan, co mnie czeka?

— Czekają panią ciężkie przejścia życiowe. Straty materyalne są najprzykrzejszemi dla większości wypadkami, z tem wszystkiem co za sobą pociągają.

— Cóż one pociągają?

— Ograniczanie się w wydatkach, których normy i skali dotąd nie znałaś. Zmianę położenia towarzyskiego, którą tylko majątek reguluje, a w którem przejście jest niezmiernie trudne i bolesne, bo zdziera najsympatyczniejsze maski z ludzi, bo otwiera rany już nie do zagojenia, bo zdziera iluzye już nie do spu-

szczenia nigdy... Wrażenia... tysiące szczegółów, sprawiają cierpienia niewysłowione... *Mais on s'y fait*... Widziałem podobne.

Nastąpiło długie milczenie. Kobiecie łzy stanęły w oczach i utkwiły w nich nadając im dziwny, a strasznie smutny blask. Milczeli oboje.

Irena nagle spokojnie spytała:

— Czy pamiętasz pan, jakiemi argumentami, w swoim czasie skłoniłeś mnie do zaślubienia Bernarda?

Bywalski pobladł, zakręcił się, jakby mu kto sztylet wbijał w serce, łypnął kilka razy oczami, spoglądając na Irenę i wreszcie zawołał prawie z rozpaczą:

— Jesteś pani okrutną! okrutną:

Tu kobiecie łzy się puściły strumieniem.

Wstała, podbiegła do przyjaciela, wyciągnęła doń obie ręce i szepnęła, łkając:

— Ależ ja panu, drogi panie Bywalski, drogi, jedyny dziś przyjacielu, nie chciałam zrobić przykrości.

A podczas gdy Bywalski całował jej dłonie i szeptał jakieś słowa pociechy, ona zaniepokoiła się ruchem pociągu, który zwalniał tem odmiennem tempem, tempem kogoś, który się chce pokazać, tempem pociągu wielkiej drogi, wjeżdżającego na wielką stacyę.

— Co to?

Zachwiali się. Pociąg stanął jak wryty.

— Warszawa!...—wołali konduktorzy.

— Warszawa... — szepnęła Irena, przymykając oczy i bezsilna opuszczając się na poduszki. — Warszawa — powtórzyła bezdźwięcznym głosem, ale przecież dość silnym, by swą nutą zdradzić ogrom cierpienia niepojęty.

Bywalski, jedyny świadek, może i zrozumiał dlaczego to jedno słowo dziś powalało kobietę, która tyle już wytrzymała.

Nie śpieszył się z wyjściem. Niechby ochłonęła. Niechby służba wyprowadziła niedołężnego Bernarda.

Ale nie pozwolono Irenie przyjść do siebie. Naczelnik stacyi „Warszawa,“ wpadł sam donieść wielkiemu prezesowi, że stanął w Warszawie.

XII.

Za godzinę miała Irena mieć ostateczną konferencyę z Jakóbem. Ona miała mieć finansową konferencyę? To wydawało się jej tak nadzwyczajnem, iżby ją bawiło, gdyby ją co bawić mogło, w tej chwili, w której się widziała oddzieloną przepaścią od wczorajszej przeszłości.

Znajdowała się w tym samym pałacu, w tym samym pokoju, otoczona tymi samymi ludźmi, temi sa-

memi drobiazgami, a przecież, ile razy wyjrzała przez okno buduaru, Warszawa wydawała się inną, ale to całkiem inną. Smutną, zimną, wrogą.

A przecież była to ta sama Warszawa, dla której niedawno temu z radością opuszczała Paryż, którą przekładała nad Wiedeń, Berlin, Rzym...

Bo też w tych kilku dniach straszne przeszła próby, równe tym, jakie z żelaza stal robią. Czyżby one zmieniły jej poglądy? Wszakże nic się dokoła nie zmieniło.

Od dwóch dni z niespodzianki wchodziła w niespodziankę, a żadnej na razie rozumieć nie mogła, a każda była przedmiotem pracy mózgu, w której Irena wychodziła z jedną goryczą w sercu więcej.

Hrabia Mikołaj był w Warszawie w banku, podnosił depozyt od kilkudziesięciu lat nienaruszany z kantoru „Appelstein i syn,“ ale nie wstąpił na pierwsze piętro dowiedzieć się, jak się ma człowiek, który go ugaszczał, kobieta, której lat sześć, nieprześcigniętym wielbicielem się mienił.

Podobne wypadki, czy rozmyślne ze strony ludzi czy wypływające ze zbiegów okoliczności, uderzały w Irenę, jak ukłócia szpilki, jak młoty jeden po drugim.

A każdy, jeśli jej nie rozczarowywał, jeśli jej nie ranił, to pozostawał znakiem zapytania dla jej słabej i zbolałej głowy i zadawał jej cierpienie zagadki, której się odgadnąć człowiek wzdryga.

Gdyby to tylko, gdyby tylko te podłości *high lifu*,

ludzi powołanych do całowania się dzisiaj, a nie znania jutro, ludzi jak chorągiewki, obracające się z prądem wiatru, im wyżej położone, do obrotu skorsze, bo na wiatr czulsze?...

Ale Edward w odpowiedzi na depeszę Bywalskiego, donoszącą mu zrozumiale stan rzeczy i uwiadamiającą go o wyjeździe niebawem Appelsteinów z Warszawy, odtelegrafował:

„Boleję z siostrą. Życzę gorąco powodzenia. Przybyć nie mogę.“

Ta depesza rozdarła coś w sercu Ireny. Ona się jego chciała poradzić, co począć, gdzie osiąść, jaką dać Jakóbowi odpowiedź.

Przeczytawszy ją, popadła w stan odrętwienia, graniczącego z obłędem. Opuszczał ją i ten, dla którego właściwie dziś tyle cierpiała, opuszczał ją ten, który mężowi jej zawdzięczał fortunę... im wszystko, jeśli już węzły krwi nic nie znaczyły. Życzył jej powodzenia? bolał z nią? Ha, ha!

Gdy oprzytomniała, posłała po Bywalskiego, który po prostu mieszkał w pałacu i rzekła:

— Jakób mi podał dwie drogi działania, albo zwołać radę ludzi fachowych i przyjaciół i postąpić jak oni postanowią. Albo oddać się wyłącznie jemu bez zastrzeżeń, bez... na łaskę i niełaskę... ze ślepem posłuszeństwem. Idźże mu pan powiedzieć, że zdecydowałam się na tę drogę... wszystko mi jedno.

Z trwogą dodała, wiedziona tą niechęcią do brata, tym instynktem, w który w swej słabości wierzyła:

— Wszakże nie zapomni, że jestem matką córki jego brata. Idźże pan? Ja już nie mam tu co robić. Wspominał o nie możności mieszkania w Warszawie. Ja chcę jak najprędzej wyjechać... jak najprędzej...

Bywalski się zamyślił.

Widział ją u wrót, z po za których już nie powróci i sam zwątpił w Jakóba. Może ta rada przyjaciół fachowych była lepszą? Może... Sam nie wiedział co myśleć.

— To stanowcze?—zapytał.

— Oh! stanowcze, byle prędzej.

— A Edward?

— Ed...ward. .—szepnęła, wytrzeszczając błędne oczy w słup.—Edward?—zapytała i milczała. Nagle ocknęła się.—Panie Bywalski, ja nie mam nikogo, nikogo, prócz pana. Podmuch wichru, bo Jakób twierdzi, że nikt jeszcze o naszym upadku nie jest przeświadczony, rozproszył mi wszystkich... Edward? — zawołała tonem nagle pewnym, jakby przejrzała, jakby w strasznem cierpieniu odgadła — może się boi, bym biedna nie zażądała zwrotu tego, com dała bogata? Ha, ha!

Osunęła się na krzesło i szepnęła:

— Idź pan!

Bywalski spojrzał na nią. Stare serce mu się krwawiło. Wiedział, że ją tu w tym samym krześle zostawia, czekającą wyroku, co będzie robić, gdzie i o czem się tułać, z chorym paralitykiem i dzieckiem, urodzonem w atmosferze milionów.

— Idę... zaraz wrócę.

I ruszył prosto przez emfilady salonów, od których ścian wiało straszne zimno przedmiotów, mających być jutro poruszonemi, złota, mającego być jutro stopionem, to straszne zimno dzieł sztuki i zbytku, gdy się patrzy na nie, jako na przyczyny ludzkich cierpień.

Dreszcz przebiegał ciało Bywalskiego, jak mijał te muzealne sale i uczuł formalną ulgę, gdy się wydostał na krużganki, wiodące do skromnego mieszkania Jakóba.

Zastał go czekającego gorączkowo decyzyi Ireny, czekającego jej ze śmiercią w duszy. Bo od niej zależało wszystko, wszystko! Jeśli Irena zwoływała radę, to czekało firmę Appelstein skandaliczne bankructwo z całą towarzyszącą mu zwykle okrutną grobową muzyką. Jeśli zdawała się na niego, to on postanowił probować samodzielnie ocalić tę firmę. Ale inaczej postąpić nie mógł. Bernard był reprezentantem i właścicielem—żona jego musiała decydować, by dziecko jej nie powiedziało mu kiedyś, że on ojca zrujnował, gdyby mu się nie udało.

A on nie wiedział, czy mu się uda, czy przeprowadzi kombinacyę, raczej *coup d'état*, który był owocem wszystkich sił żywotnych, jego wycieńczonych pracą nerwów.

— I co?—zapytał trwożnie, trupio blady, drżący w tej chwili, jak osika. Wszakże tu od kaprysu niemal kobiety zawisłem uczynić musiał, czy przez całe

życie nie będzie śmiał podnieść oczu do góry, czy runie ten gmach, wystawiony taką dozą pracy i geniuszu pokolenia, czy też jeszcze będzie dozwolonem spróbować go podtrzymać.

— I co?—powtórzył głucho, wycieńczony już tą krótką chwilą, w której zasapany Bywalski tchu szukał.

— Irena zdaje się na ciebie.

Tu Jakóbowi już sił brakło. Wsparł się na ramieniu przyjaciela i posunął ku sofie; na nią opuścił się ciężarem, jakby olbrzymiego ciała...

. . . .

Jakób długo milczał, a Bywalski czekał. Wreszcie Appelstein odzyskał mowę i zaczął z posłanniczą prawie powagą:

— Dziwną ironią losu jesteś pośrednikiem w tych strasznych przejściach między mną a Ireną, jak byłeś kiedyś między nią a Bernardem. Trudno ci wyrazić moją wdzięczność i nie silę się na to. Jesteś jednym z tych ludzi, którzy pod powłoką egoizmu kryją duszę tem droższą, że nie zużytą. Potrzebuję cię, potrzebuję na jakiś czas, potrzebuję dla mych celów, które są celami i tej kobiety. Nie mając prawa żadnego do ciebie, w imię jej prawa cię powołuję.

— W czemże ty mnie więcej potrzebować możesz?—zapytał naiwnie Bywalski.

— Potrzebuję, tak, iż nie wiem, jakbym się bez ciebie obszedł. W tej burzy, widzę się sam, jak ten kapitan tonącego okrętu z którego dezertują topiąc

się i wskakując w wodę, majtkowie i podróżni. Gdybyś ty wiedział, co to jest zachwianie firmy, gdybyś wiedział, jak paraliżuje, zmienia, gangrenuje jej ludzi, tobyś mi się oddał, bo czułbyś, że słaby, jakim jesteś, osobą swoją, możesz mnie uratować, lub w uratowaniu się mi dopomódz.

— Jeśli tak—podchwycił Bywalski—to ci służę. Służę o tyle, o ile mi siły wystarczą. Rozumiesz bowiem, że niestworzony do takich awantur, unikający dramatów, długo nie oprę się upadkowi koniecznemu w mym wieku, po przejściach kosztujących mnie więcej niżby ci się zdawało.

Appelstein wyciągnął swą dłoń i uścisnął zimną rękę Bywalskiego.

— Dziękuję ci. Los nam zsyła środki widocznie, gdy uznaje cele. Ale czy ty wiesz, czego ja od ciebie żądam?

— Zkądże?

— Czy ty wierzysz we mnie?

— Gdybym nie wierzył...

— Wierzysz dość silnie w cele, by uwierzyć w środki?—zapytał dobitnie i znacząco nad wyraz.

Bywalski zrozumiał, że pytanie było stanowczem.

— Uważasz — wtrącił cedząc — jestem ku tobie pociągany obcą i dotąd nie znaną mi siłą. Wszystkie moje gusta, zasady moje, nakazują mi opuścić was, opuścić ten pałac, który mnie grobową atmosferą prze-

nika, grozą katastrof! A coś, coś nieuchwytnego, jakaś tajemna siła przykuwa mnie tutaj i zmusza do lawirowania między wami, do poślubiania sprawy, której nie czytam na twym czole, ale którą czuję... Widocznie więc wierzę w ciebie... chyba...

Appelstein się zerwał.

— Bywalski! — zawołał, wyjmując złotą monetę ze swej kieszeni.—Ten pieniądz nie jest moją własnością. Nie chcę go ukraść, ale proszę cię, schowaj go, ukryj, zataj u siebie...

Bywalski osłupiałym wzrokiem przyglądał się Jakóbowi i wyciągał dłoń po pieniądz.

— Schowałbyś?—zapytał tym metalicznym głosem, gwałtownym chwilami, ostrym, jakby miał ostrza.

— Biorę!

Appelstein rzucił się w jego objęcia i chwilę w nich pozostał.

Stary nic prawie nie rozumiał, czuł tylko, iż w tej duszy działo się coś stanowczego, w tej głowie szumiało coś śmiałego.

— A teraz — zawołał, otrząsając się Jakób — jeszcze jedno czeka mnie z Ireną zadanie, niewymownie przykre... Ah! jak mi wstrętne!

— Co? co jeszcze?

— Zaczekaj tu. Ja zaraz wrócę...

— Idziesz do niej?

— Do niej.

— Przedstawić jej ten smutny program życia?

— Gdyby to tylko.

— Cóż więcej?

Appelstein się zamyślił, zamiast odpowiedzi zapytał:

— Czy kobiety bardzo dbają o kosztowności?

Bywalski skrzywił się.

— Chciałbyś?... — urwał, objął przyjaciela spojrzeniem złem prawie.—Myślałem, żo to jej...—urwał i poprawił się—im zostawisz.

— Ah!—zawołał Appelstein.—I ty mnie jeszcze nie rozumiesz. Im zostawić? ha, ha!

Pochodził po pokoju, jakby jeszcze ważąc coś.

Nagle przystanął, siłą woli przywołał swój zimny twardy wyraz, opuszczający go w rozmowie z Bywalskim chwilami:

— Ty mnie demoralizujesz i podnosisz. Ty jesteś za słaby dla mnie... Idę je odebrać! Nie ma sposobu.

Bywalski westchnął. Jakób ciągnął dalej:

— Te kosztowności, to milion, a milion w bankructwie nawet firmy „Appelstein i syn...“

Urwał i zapytał:

— Czy wiesz, że czasem jeden wyrzucony worek ratuje tonący okręt?

Nie szukał odpowiedzi i wybiegł, pozostawiając Bywalskiego w osłupieniu. On się dotąd tem tylko pocieszał, że Irena miała fortunę w kosztownościach,

która ją mogła uchronić od strasznej znajomości z—biedą. A on się tak bał biedy dla siebie. Cóż dopiero dla kobiety, kobiety, jak Irena, której suknia nigdy nie otarła się o jej szmaty.

XIII.

Jakób zastał Irenę w tem miejscu, w którem ją opuścił Bywalski. Myślała nad tem, czy to możliwem było, by to, co się dokoła niej działo, miało być rzeczywistością, a nie snem. Przebiegała w pamięci całą swą przeszłość i teraz dopiero rozumiała niektóre jej ustępy krótkie, minutowe, które ją w swoim czasie zastanawiały. Teraz dopiero wydawała jej się mniej enigmatyczną fizyognomia Jakóba, jaką zauważyła w różnych chwilach, przeżytych w tym pałacu, wystawionym przez pana Salomona dla komfortu i spokoju szeregów pokoleń.

Jakże ona była naiwną, ograniczoną, nie domyślając się z różnych zwiastunów tego wszystkiego, co w nią teraz taranem uderzało. A co ją dalej czekało? Ta przyszłość tajemniczością swoją straszna, niepewna, tak inna, wśród obcych i nieprzyjaznych. Bo prawie o tyle świat znała, by wiedzieć, że się składał z jednostek, nienawidzących bankrutów. Ah! Jakże

to słowo drażniło, to słowo, nad którego tajemniczem znaczeniem nigdy się nie zastanawiała, które jednak zawsze brzmiało jej przykro, które widziała zawsze wymawiane w towarzystwie uśmiechu, czy skurczu pogardy i szyderstwa.

I to wszystko spadało na nią niezaradną, w tej rodzimej niezaradności przez Bernarda, przez życie jeszcze wydoskonalonej, na nią, bojącą się ludzi, w gruncie nieśmiałą, praktycznemu życiu tak obcą.

Połapać się nie mogła, ale, że już i skala cierpienia w niej podnieść się nie dała, nie cierpiała, owszem, bóle się jej koiły.

Byle prędzej się to wszystko ułożyło, wyjaśniło, unormowało.

W tym pałacu jej było okropnie. Każdy przedmiot, każdy z tych, które codziennie niemal, począwszy od złoconej zastawy toaletowej ozdobionej turkusami, w swych białych, długich palcach miewała, był jej dzisiaj obcym, twardym, jutrzejsze swe losy wyrzucającym.

Byle wyjść ztąd—myślała przesądna, jak każda słaba istota—zkąd może ją wypędzały zazdrości ludzkie, szalone, rozkiełznane, których blaski w oczach nieraz podchwytywała, dziś dopiero ich istnienie z katastrofy poczęte rozumiejąc.

Wejście Jakóba ją obudziło. Myślała zrazu, że to nieszczęśliwy Bernard wchodzi, obaj bracia mieli chód podobny. Gdy poznała szwagra, przypomniała

sobie dopiero, że Bernard popadł w rodzaj manii, polegającej na nieruszaniu się.

Nieskończenie bolesny wyraz pokrył jej oblicze. Skinęła głową i wskazała gestem krzesło Appelsteinowi.

Ten siadając zaraz zaczął:

— Bywalski mnie wysłał do pani. Nie dziękuję za położone we mnie zaufanie, ani też nic nie obiecuję. Przyszłość nasza jest zakryta zasłoną grubą i ciemną. Pragnąłbym tylko, by pani była przekonaną, że zrobię wszystko możliwe, by uratować firmę, którą za świętą uważam, za arkę naszego honoru. Jeśli ją uratuję, uratuję i ciebie.

Odetchnął, i niezachęcony niczem ze strony posągowej Ireny, wyglądającej jakby z boleścią dźwięku słów jego słuchała, on mówił dalej:

— Pozostawał pani jeden środek usunięcia się od bankrutów, separowania się...

Tu Irena zrobiła gest ręką, który dostatecznie zrozumiał Jakób, bo podchwycił zażenowany prawie tym zwrotem:

— Nie pozostaje mi więc nic innego, jak przedstawić pani plan, jaki dla jej egzystencyi starałem się uformować. Życie jej w Warszawie w tak odmiennych warunkach, choćbyśmy nawet potrafili wyjść z tej burzy bez skazy, byłoby sądzę...

Ten sam gest ręki niewiasty, znów zmusił Jakóba do niedokończenia swej myśli, a szybszego zmierzania ku końcowi. On chciał jej przedstawić przy-

czyny i pobudki swych postanowień, ona ich czy nie była ciekawą, czy też nie chciała ich słyszeć.

— Kraków jest tak zapleśniałą arystokratyczną dziurą, iż sądzę, że pani by w nim mniej było dobrze, niż w innem mieście. O Poznaniu nie ma mowy, pozostaje Lwów i zagranica.

— Lwów — szepnęła Irena, bo lubiła ojczystą ziemię i nie pojmowała życia na obczyźnie.

— A więc Lwów. Zbadałem nieco jego stosunki i doszedłem do przekonania, że możecie w nim żyć zupełnie dostatnio z rentą sześciu, ośmiu czy dwunastu tysięcy rubli. Naturalnie, że suma ta wobec tego, coście wydawali dotąd, jest śmiesznie małą, ale jest zupełnie wystarczającą do życia ludzi choćby wychowanych i przywykłych do zbytku. Jeśli uratuję firmę, obowiązuję się ją pani wypłacić.

— A jeśli jej pan nie uratujesz? — zapytała Irena ze zdziwieniem, spostrzegając, iż ten człowiek zdołał ją już zainteresować jej egzystencyą.

Appelstein ściągnął brwi.

— Jeśli jej nie uratuję...—powtórzył grobowo— jeśli jej nie uratuję, to...

Umilkł i przerwał.

— Nie mówmy o tem... nie ma o czem. Jestem jak granat twardy, ale za miękki, by o tem dyskutować. Pójdziemy... — urwał i skończył — pójdziecie w rozsypkę. Bernarda osadzę w domu zdrowia, założonym przez naszego ojca...

Dwie łzy wyraźne stanęły mu w oczach i w tejże

chwili zniknęły, a te widziała już Irena i dziwną one ją napoiły otuchą:

— Boisz się... pan o mnie. Widzisz, że jestem od niego zimniejszą.

Jakób zbladł. Ten zarzut go zabolał. On teraz potrzebował siły tytańskiej i zimna marmuru.

— Tak!—zawołał—bo tu chodzi o Appelsteinów, ale gdyby chodziło o Starżów?

— Wszak jestem jedną i drugą...

Jakób wypogodniał. Te słowa były rodzajem balsamu dla jego chorej duszy. Chwilę myślał rzucić się do nóg Ireny, ale zagryzł wargi i ciągnął:

— Zapewne osiądziecie we Lwowie na długo, jeśli nie na zawsze... W rozstroju, w jakim pani jesteś, nie możesz myśleć o swem urządzeniu się. Że jednak zawartość tego pałacu pójdzie na sprzedaż, winnaś spisać przedmioty, którebyś zatrzymać pragnęła.

Irena machnęła ręką.

— Ja teraz wyjadę, a wyjadę na dość długo. Spieniężeniem ruchomości waszych zajmę się później. Masz więc pani czas wybrać sobie ztąd swój przyszły domek.

— Czyżby pan nie rozumiał, że każdy ztąd przedmiot byłby mi powodem cierpienia.

— Mylisz się pani. Pamiątki czystych katastrof są nieraz milsze od pamiątek chwil szczęścia. One mają w sobie więcej smaku, więcej myśli, duszy! Byle

czyste—powtórzył.—Gdy będę wiedział, że ocalę firmę, a te rzeczy jeszcze będą, to ci doniosę...

Irena skinęła obojętnie głową.

Appelstein się zamyślił. Oblicze jego pościągało się w tysiące nowych zmarszczek, które cierpienie w tej chwili może świeżo pofałdowało. Spoglądał na Irenę. Chciał coś mówić i wstrzymywał się. Irena go obserwowała.

Nagle zapytała:

— Ja Lwowa nie znam. Jesiołowskiej, która dopiero co mnie opuściła, nie chciałabym trudzić.

— Uproszę Bywalskiego, on was nie opuści, będziecie zupełnie u siebie.

Znów nastąpiło milczenie. Irena czuła, że Jakób jeszcze czegoś od niej chce żądać i pracowała myślą, by to żądanie odgadnąć. Appelstein już trzy razy poruszył się na krześle i otworzył usta.

Nagle kobieta zawołała:

— Jeśli pan wystawisz na sprzedaż te ruchomości, to przecież nie zostawisz mi mych kosztowności?

— O tem właśnie chciałem mówić...

Irena nie byłaby kobietą, gdyby nie była zbladła. Pierwsza chwila pewności, że się rozłączyć musi z temi kamieniami, które tyle razy zdobiły jej ciało, miała w sobie coś przykrego, a subtelnością swoją niewymownie bolesnego. Nie była w stanie przemówić. W ostatnich dniach kilka razy, myśląc o zapadłej ruinie, drżąc przed nieznaną przyszłością, widziała w tych biżuteryach, których ceny znała, ale warto-

ści nie pojmowała, deskę ratunku, jakąś materyalną gwarancyę przyszłości. Zkąd jej teraz przyszła błyskawiczna myśl, że Jakób ich zwrotu będzie żądał, nie pojmowała. W rozpaczliwych widokach przyszłości tworzyła sobie błyskawicami, niedającej się niczem ustatkować myśli, projekt, że te kosztowności będą kiedyś posagiem Lulu. Teraz ten człowiek chciał je zabierać. Łzy stanęły w jej oczach, olbrzymie jak brylanty, jak solitery czyste i migotliwe. Nie mogła ich nie bronić.

— Myślałam, że one będą posagiem...

Dokończyć nie zdołała. Dusiło ją.

Jakób podchwycił:

— Smutnymby one były posagiem, gdyby firma runęła, bo byłyby poprostu... ukradzionym.

Ireną dreszcz wstrząsnął jakby w febrze.

Odpięła od łańcuszka u zegarka złoty kluczyk, formą przypominający klucze kas ogniotrwałych i podała go Jakóbowi.

Ten go wziął i trzymając mówił:

— Te kosztowności są niemal jedną z pierwszych podstaw ratunku mego projektu. Te kosztowności to milion, a milion... gdy bank goni ekspedymentami...

Urwał i nie śmiał spojrzeć w oczy Irenie.

Ta wskazała mu szkatułę ubraną staremi materyami, stojącą na złoconym postumencie, ale widocznie przyśrubowaną do ściany i podłogi, kryjącą pod jedwabiem haftowanym, swe zimne, żelazne ściany.

— Tam... wszystko!—zdołała wymówić.

— Wszakże pani zatrzymasz swoje osobiste klejnoty?

Irenie się zdało, że wypowiedział to z ironią. Zawołała z rozdrażnieniem:

— Ależ zabieraj pan wszystko...

— Racz pani wybrać i zatrzymać to, co ci do dwunastu tysięcy rubli renty może być potrzebne i odpowiednie. To mnie...—poprawił się—to nas nie zbawi...

Irena była zbyt rozdrażnioną, a zdenerwowanie wzrastało co chwila.

— Bierz pan wszystko—jęknęła prawie—i uwolnij mnie przez litość.

Appelstein uśmiechnął się. On nerwów nie rozumiał, a cóż dopiero w takiej stanowczej, drastycznej, decydującej chwili.

Wstał i otworzył kasę, napełnioną puzdrami aksamitnemi. Pierwszy raz widział wnętrze tego skarbca pięknej kobiety. Pierwszy raz zrozumiał jego urok. Przeglądał dłońmi te szkatułki, lekkie jak pióra, a mieszczące krocie, otwierał je, nie zatrzymując się nad niczem, jakby się bał nie módz dokończyć dzieła rozpoczętego. On szukał czegoś, czegoś, co znał, co wiedział przynajmniej że pozna.

Irena mu się błędnym wzrokiem przypatrywała.

Nie wiedziała nad czem więcej cierpiała, czy nad tem, iż jej zabierano osobiste, czysto kobiece skarby, czy nad tem, że w tej szkatule, w której nigdy żadna

nie postała ręka, teraz przerzucała twarda dłoń Jakóba.

Coś niezwykłego się działo w jej falującej piersi. Wreszcie dłużej wytrzymać jej nerwy nie mogły.

— Bierz pan wszystko, na Boga!

Appelstein właśnie skończył. Potrzebował całej siły woli, by słowem, jak nóż zimnem i ostrem nie przyprowadzić do porządku kobiety nie wiedzącej co sam cierpi. Odkładając trzy wielkie puzdra i jedno małe, zamknął kasę i rzekł:

— Biorę te trzy słynne naszyjniki, kupione już w epoce, w której Bernard tracił równowagę i biorę broszę po cesarzowej Eugenii i kolczyki po...

— Bierz pan wszystko. Zostawiasz wiele... — uspokoiła się i ciągnęła tonem prawie obojętnym—zostawiasz mój naszyjnik zaręczynowy, który podobno...

— Resztę zostawiam.

Zniecierpliwił się i zawołał:

— Ja chcę panią ratować, a nie ograbiać!

Skłonił się i wyszedł, trzymając z dziwną precyzyą trzy wielkie pudła, blaskiem swego aksamitu szafirowego, krojem swych zamknięć, formą swą wreszcie zdradzające powagi, jakie się w nich mieściły.

Bo mieściły one te trzy naszyjniki nabyte w ciągu jednego roku, pierwsze symptomaty dla Jakóba chwiejącej się równowagi umysłowej brata.

Mieściły one te perły, które gasiły wielkością podczas ostatniej wystawy wiedeńskiej biżuteryę koronną Austryi. Mieściły rubiny, o które tranzakcya

zajmowała lordów angielskich więcej niż parlament. Mieściły tę broszę, którą cesarzowa Eugenia uznała za niestosowną bez tronu.

Z tem wszystkiem wszedł do siebie, gdzie zastał pomięszanego Bywalskiego, wołającego doń już od drzwi:

— Trzy depesze!

Appelstein odłożył puzdra i wziął się do czytania telegramów. Uskutecznił to w jednej chwili. Śmiertelnie pobladł i zaczął chodzić po pokoju. Spojrzał na Bywalskiego i ulitował się nad tą fizyognomią nieszczęśliwca, wmięszanego w rzeczy, których nie rozumiał. On się bał depesz, a cóż dopiero depesz w takich zagadkowych okolicznościach.

— Przeczytaj... wspólniku... — szepnął Jakób wycieńczonym wewnętrznemi wzruszeniami głosem.

Bywalski czytał i oczom nie wierzył. Obie depesze przychodziły razem z dwóch miejsc, obie prawie dosłownie jednobrzmiące, obie, zdawało mu się, walące gmach, podtrzymywany przez Jakóba.

Spojrzał na niego i oniemiał, widząc, że ten dalej chodzi i raczej uspakaja się. Depesze pochodziły od Rotszyldów z Wiednia, od Bleichrödera z Berlina i oznajmiały zamknięcie kredytu firmie „Appelstein i Syn.“

— Co to? co będzie?– zawołał, chwytając w gorączce za ramię Jakóba.

— To byłby koniec — odparł Jakób — gdybym tych depesz od kilku dni się nie spodziewał.

— I poradzisz?

— Poradzę...

Usiadł przy stole i na dwóch półarkuszach napisał te słowa:

„Proszę dyskontować do mego przyjazdu. Przyjeżdżam jutro wieczorem. Appelstein.“

— Proszę cię, Bywalski — mówił cedząc i opierając się plecami o poręcz krzesła, jakby wycieńczony ostatecznie napisaniem tych dwudziestu słów—zanieś sam te depesze na telegraf. Niemogę treści ich nikomu powierzać.

Bywalski odczytał oba blankiety i szepnął z półuśmiechem:

— Wierzę; żaden z twych buchalterów nie zrozumiałby, jakim sposobem możesz być jutro w Berlinie i Wiedniu.

— Otóż właśnie, a będę...

Bywalski oczami pytał. Wszak on musiał być wtajemniczony we wszystko, jeśli miał cokolwiek pomagać, jeśli miał wytrzymać te pośrednie odbicia się paroksyzmów chwiejącej się firmy.

— Nie pytaj... sił nie mam.. muszę myśleć... muszę działać... dowiesz się...

Uścisnął mu dłoń tylko miękko, kilkakrotnie, tym uściskiem, wyrażając to, czego sił nie miał powiedzieć.

A Bywalski zauważył, że oblicze jego całe pokryte zimnym, kroplistym potem. I zamyślił się pierwszy raz nad odwrotną stroną złocistego medalu, za ja-

ki dotąd uważał żywot bankiera, którego pierwszy raz widział nie we fraku salonu, lecz w szlafroku gabinetu.

Może niejeden z jego licznych warszawskich znajomych, niejeden taki, który upadł, taki Kohn, który szedł w górę podobno, przebył chwile zimnym potem ciało pokrywające.

— Śpiesz się—syknął otrząsając się Jakób i zapominając, że do Bywalskiego, a nie kantorowicza mówi — minuty znaczą... Gdyby Kohn dziś wypadkiem podał do dyskonta weksel Appelsteina Rotszyldowi a ten go odrzucił, byłbym zgubiony.

Mówił to powoli, spokojnie, tonem człowieka, który wszystko przewidział, na wszystko środki obmyślił, a w opatrzność, mającą mu uchylić niefortunne wypadki, wierzył.

I jeszcze dodał:

— Straszną przejdę dobę... Rotschild jest dżentelmanem. Zaryzykowawszy milion... zaryzykuje tyle, ile wypadnie jutro do czwartej. O czwartej ekspres staje w Wiedniu?

Mówił to, jakby sam do siebie, a Bywalski go machinalnie słuchał, porwany tą gorączką opanowującą słabszego, gdy ratuje olbrzyma.

XIV.

Mimo spóźnionej pory Jakób Appelstein bawił w kantorze, do którego się dostał prywatnem wejściem, z gabinetu Bernarda. Rozporządził wszystko, nocnym pociągiem miała wyjechać Irena z mężem i dzieckiem, oraz całym malutkim, wybranym z pośród zgrai służby dworem. Bywalski miał jej towarzyszyć...

On sam wybierał się tymże samym pociągiem w podróż długą, daleką, do miejsc porozrzucanych w różnych promieniach od Warszawy.

Wszyscy mieli jechać za granicę. Wszystko było gotowe i o ile się dało w takim pośpiechu omówiono. Dyrektorski wagon kolei Wiedeńskiej miał ich ostatni raz przewieźć tą linią, poczem dopiero miał być oficyalnie ogłoszony Jakób Appelstein następcą chorego brata, dalszym reprezentantem zachwianej firmy. Dotąd był nim jeszcze Bernard, zagrożony zupełnym paraliżem, z odjętą mową, nie wymawiający nic prócz jednego słowa „Irena,“ umysłowo całkowicie niemal przytępiony, z chwilami obłędu, w których mu się zdawało, że Irena ma romans, to z tym, to z owym...

Jakób siedział przy biurze w olbrzymiej komnacie o pozamykanych okiennicach zaledwo blado oświeconej jednym ramieniem gazowego płomienia.

To wszystko rozporządzono w pośpiechu, którego przyczyny on jeden znał, ważył i rozumował, jakby się sam obawiał złych skutków tej gorączki działania, lub jej nieuniknionych, zdawałoby się, błędów.

Trupia bladość pokrywała jego oblicze, ustępująca jednak chwilami palącym rumieńcom, uderzającym mu krwią do głowy, ile razy jedna stała myśl mózg mu przeszywała. A ta myśl powracała wciąż.

Wtedy blada twarz Jakóba stawała się chorobliwie szkarłatną. Wstawał, jakby ta myśl go podnosiła i chodził po pokoju. Powoli powracał do siebie, by wkrótce znów w ten dziwny stan popaść.

Bezwiednie oczy jego utkwiły w portrecie pana Salomona, jedynie wiszącym w tej komnacie i zyskującym na plastyce, jak zwykle portrety w słabem oświetleniu.

Zadrżał. Gdyby ten ojciec wiedział, co on robić zamyśla. Gdyby widział firmę w takim stanie, iż on był do tego kroku zmuszonym. Coby ten ojciec zrobił? czyby mu kazał ratować się wszelkiemi środkami z tą dewizą silnych i pewnych: „Cel uświęca środki?“ czyby mu kazał pozwolić się zasypać gruzami walącego się gmachu, którego wystawieniu on poświęcił całe swe życie i cały swój geniusz...

Myślał długo.

Nagle się zerwał i szepnął:

— Onby mi kazał się bronić, onby mi kazał temi barkami gmach podtrzymać, skoro w ich siłę wierzę, skoro nie siebie, lecz firmę ratuję...

Spojrzał na olbrzymią kasę, stojącą pod portretem i drgnął jak w febrze, jak przed wstrętną organizmowi potrawą.

Chodził...

Wtem wielki szafowy zegar, stojący w przedsionku biur i kas, wydzwonił dziesiątą. Jakób przystanął i liczył uderzenia. Gdy ostatnie odbiło się młotem w jego mózgu, uchwycił z pośpiechem kluczyki, leżące na biurze i otworzył żelazną kasę tak drżącą ręką, iż nie mogła trafić do zamku, iż nie miała siły uchylić żelaznych drzwi.

Ale otworzył ją. Zimny pot pokrywał jego głowę...

Jeszcze się zawahał, ale sekundę. Myśl, że miał tylko dwie godziny czasu do zrobienia takiej masy rzeczy zelektryzowała go.

— Skrupuły... przesądy... — szepnął—zostawmy je słabym i złym.

Zaczął wydobywać paki papierów jedne po drugich, rzucając je na biuro, zaledwie spoglądając na napisy, na każdej z nich wypisane. Skoro wszystkie, które widocznie z naprzód obmyślanym planem odłożył, uchwycił czarną tekę skórkową, o kilku zamkach, mogącą się w miarę wzrostu zawartości wewnętrznej, zamienić w torbę podróżną i rozwinąwszy ją na biurze, usiadł.

Już działał mechanicznie, z precyzyą i pośpiechem. Spoglądał tylko chwilami na portret ojca, bo dziwną halucynacyą wyobrażeń, ciągle mu się zda-

wało, że namalowane oblicze starca jemu wyłącznie się przypatrywało i miało wyraz potwierdzenia, pochwały...

Miewamy takie halucynacye w chwilach wielkich moralnych i działających na wyobraźnię wstrząśnień.

Wydobywał z pak i paczek papiery wartościowe, akcye cukrownicze i kolejowe, obligi banków i stowarzyszeń, różnokolorowe arkusze i sortował je w tece podług ich gatunku widocznie.

Czasem je przeliczał, konstatując ich cyfrę, z góry mu wiadomą. Czynił to wszystko z uderzającą wprawą i pewnością człowieka przywykłego do ogarniania wszechpotężnie każdego przedmiotu.

Wtem drgnął, jak podrzucony na krześle.

Sucha dębowa posadzka, wysuszona i wiecznie schnąca w tej atmosferze bankowych kantorów, zawsze ciepłej, gazem i tysiącami oddechów rozgorączkowanych ludzi, wciąż suszącej, strzeliła z łoskotem, jakby tafelka jej pękła, jakby kto na nią nastąpił.

Serce mu na sekundę bić przestało. Cały się trząsł, krew ubiegała z kończyn i twarzy.

Na długo tak skamieniał...

. . . .

Roześmiał się nie głosem lecz muskułami twarzy.

— Boże — szepnął — jakże człowiek jest słabym, jak od wpływów zależnym. I jemu się brać do wielkich dzieł!...

Już segregował dalej. Teka zamieniała się w torbę...

Wtem osłupiał.

Ktoś schodził do kantoru krytemi schodami powoli, ciężko, skrzypiąc butami. Kroku tego nie znał.

Czy był w malignie? Czy rzeczywiście ktoś tu schodził?

Ale kto? kto?

Życie jego, zdawało mu się, zawisło na włosku.

Bernard iść nie mógł, bo go zostawił w łóżku. Bywalski, jeśliby znał to wyjście, jeśliby... toby mu na myśl nie przyszło szukać go tutaj. Zresztą, to nie był chód ani jednego, ani drugiego...

Chciał ukryć papiery... Nie było na to już czasu... Kroki się zbliżały już, tuż...

I Jakób Appelstein potrzebował zachwycić powietrza, by się nie udusić, by podtrzymać ulatujące w tej chwili życie.

To może władza, poinformowana lepiej niż Warszawa, może władza?...

Wtem otworzyła się szafa machoniowa, kryjąca wyjście tych sekretnych schodów i stanął w niej ze świecą w ręku, w perskim jedwabnym szlafroku, z obłędem na obliczu—Bernard.

Jakób w mgnieniu oka się połapał, odetchnął łyknięciem powietrza, przywracającem mu zatrzymane życie, ale ani wstać nie mógł, ani się poruszyć, ani głosu dobyć...

Bernard przysuwał się do biura, postawił na nim

świecę, dziwnym gestem ręki, niby ceremonialnym, stylowym, salonowym, potoczył po papierach na biurze...

Nagle się zaśmiał swym dobrym, dawnych dni śmiechem, który choroba przytłumiała, lecz nie wykrzywiała — Chciał coś mówić, więc zaczął bełkotać, ratując tem Jakóba, bo go ostatecznie do życia, przykrem wrażeniem, jakie sprawiał, nazad powołał.

To nie była władza, to nie był spodziewany w katastrofie wypadek, to Bernard, machinalnie, bezmyślnie otworzył w swym pokoju drzwi i szedł drogą, której mu nikt nie wzbraniał.

Bernard, mimo wysiłków, nie mógł powiedzieć tego, co może chciał powiedzieć. Zresztą, może nic nie chciał powiedzieć. Pobełkotał długo i wreszcie, przybierając wyraz tragiczno-komiczny, zawołał głosem donośnym, siłą tragicznego wysiłku, bezdźwięczną i bezwyrazistą nutą:

— Ire...na!

Jakób kiwnął głową i dalej jeszcze pośpieszniej kończył segregacyę krociowych akcyi...

. . . .

Wstał, zamknął kasę, uchwycił torbę pod pachę lichtarz w lewą rękę, zgasił gaz, prawą ręką objął Bernarda i uprowadził go troskliwie jak dziecko tą samą drogą do jego pokoju.

Tu zadzwonił na lokaja, objął brata nieskończenie dobrem i bolesnem spojrzeniem, i zanim służący zdołał nadejść, oddalił się.

Przebiegł korytarze, schody i ganki i znalazł się w swem mieszkaniu, gdzie go Bywalski czekał oddawna.

— Jestem! — zawołał rzucając torbę na sofę — mamy niezłą godzinę czasu.

— Właśnie...

— Irena dziś jedzie?

— Dziś.

Jakób odetchnął.

Bałem się, by jej co nieprzeszkodziło

— Czyż ci tak na tym dniu zależy?

— — Na sekundach, bo sekundy psują takie akrobatyczne, jak moje kombinacye.

Zamknął na klucz drzwi wchodowe, zajrzał do przyległych pokoi, zrewidował je i uskuteczniwszy to wszystko z nieopisaną w pośpiechu dokładnością i drobiazgowością, zawołał do zdziwionego Bywalskiego:

— Sądzisz, iż pojedziesz prosto do Lwowa? Nie! Na granicy opuścisz Irenę, która sama pojedzie do Lwowa, a ty pośpieszysz do Wiednia. W Wiedniu będziesz przed wieczorem. Natychmiast zameldujesz się do Rotszylda, lub do jego pierwszego prokurenta i oznajmisz mu, iż przybywasz w skutek telegramu, w zastępstwie mnie...

Bywalski, który przy pierwszych słowach miał zamiar się buntować, już zahypnotyzowany tym metalicznym głosem, tą buchającą z oblicza Jakóba siłą woli, milczał i słuchał.

— Temu powiesz, iż natychmiast z Berlina stanę w Wiedniu, iż objąłem po bracie firmę... Oddasz

mu—tu wskazał na duże skórzane torby, raczej szkatuły, leżące na stole i do podróży gotowe — za odpowiedniem pokwitowaniem te dwie paki. W jednej z nich mieszczą się kosztowności Ireny wartujące milion. W drugiej losy loteryjne naszej firmy, złoto i drogie kamienie, które lubił i zbierał mój ojciec. Połowę ich przy działach wziąłem ja. To wszystko warte pół miliona. Oddaję to na zabezpieczenie wypłat, jakichby w ciągu następujących po jutrzejszym dniu, od Rotszyldów na rachunek firmy Appelstein żądano.

Urwał zadyszany, wypowiedziawszy to jednym ciągiem.

— Człowieku! — zawołał Bywalski. — Ja jestem stary, ja mogę umrzeć, ja mogę być ograbiony.

Appelstein przerwał mu, ujmując go za ramię i podchwytując:

— Zrobisz to, bo rozumiesz, że takiej misyi, dowodzącej rzeczywistego bankructwa nikomu powierzyć nie mogę. Zresztą nikomubym dziś nie wierzył. Okraść bankruta, jest rzeczą, która przejdzie przez głowę temu prokuratorowi, któryby nie pomyślał o nadużyciu bankiera. A Firma „Appelstein i syn“ będzie ocaloną, jeśli Wiedeń i Berlin nie wstrzymają jej kredytu. Wszyscy, nawet petersburski Bank Państwa, patrzą dziś, co oni zrobią. Jeden dzień rozstrzyga—mówił płynnie, wyraźnie, zdwajając zrozumiałość dla Bywalskiego giestem i mimiką.—Pojutrze, gdy się dowie świat finansowy, że pogłoski miały zasadę, gdy tu ogłoszą usunięcie się Bernarda, a następstwo moje,

zrobi się popłoch giełdowy, zażądają wypłat od potentatów... Gdyby ci ich odmówili, runąłem. Jeśli ci je uskutecznią, być może, że wstrzymają w jednym dniu popłoch i obawy.

— Dlaczegoż ty z tak doniosłą misyą nie jedziesz?

— Ha, ha! — zaśmiał się Jakób. — Przecież nie mogę być w dwóch miejscach naraz. Ja jadę razem z tobą, ale do Berlina i Petersburga. Ja jadę z temi torbami—dodał, wskazując na kanapę.

Bywalski spojrzał na torby, a Jakóbowi się zdało, że chciałby przeszyć wzrokiem ich zawartość, czy też uległ tutaj tej nieprzepartej potrzebie posiadania powiernika w najkrytyczniejszej może życia chwili, że zawołał głosem stłumionym, dziki wzrok zapuszczając w przyjaciela i zbliżając twarz do twarzy.

W tych torbach mieszczą się trzy miliony depozytów firmy „Appelstein i syn."

Bywalski utkwił wzrok w Jakóbie. Chwili go nie spuszczał z niego i syknął:

— Człowieku!

Twarz jego wyrażała taką rozpacz, taki przestrach, takie myśli i trwogi człowieka ostrożnego i słabego, ale uczciwego, że Appelstein poczerwieniał i oniemiał.

Po pauzie dopiero podchwycił, pytając znacząco:

— Czyż ja jestem człowiekiem, któryby lekkomyślnie narażał depozyty?

— Ale naruszasz je!

Jakób milczał, więc Bywalski ciągnął:

— Jeśliby jutro zażądano jednego z nich?

— Wybrałem depozyty tylko tych, którzy po upadku firmy „Appelstein i syn“ jeszczeby w jej upadek nie wierzyli. To depozyty powierzone memu ojcu jeszcze...

— Jeśliby ci się noga powinęła, jeśliby ci się nie udało, jeślibyś?...

— Wtedybym nie żył, życiem, krwią własną zmyłbym tę plamę na firmie... a ten jeden, który zna i widzi — tu rękę podniósł do nieba — nasze pobudki, rozgrzeszyłby mnie... Jestem przekonany.

Wymówił to tak posłanniczo, iż uwierzył i Bywalski, że niepodobieństwem było, by ten człowiek z takim zapasem woli zginął.

Jakób uchwycił dłoń jego i przyłożył ją do swego czoła.

— Czujesz ten zimny pot? czujesz tę gorączkę rozsadzającą czaszkę? Czy sądzisz, że mi łatwo przyszło to dopomożenie sobie cudzem i na prawach nietykalności, powierzonem mi mieniem?... Ale jakaś wewnętrzna siła kazała mi tak postąpić i do tego mi dała moc.

— Ja jadę do Berlina — mówił, gdy już Bywalskiego widział sprzymierzonym—tam zostawię te torby na takich samych jak ty w Wiedniu warunkach, jako depozyty, jako zastaw gwarantujący... Ztamtąd pojadę do Petersburga starać się o założenie głównej

siedziby banków „krajowych industryi“ w Warszawie w tym pałacu... Toby mi dało sto tysięcy rocznego dochodu... i umożliwiło... — tu mówił głosem pełnym uczucia — ratunek tego gmachu, który ojciec stawiał dla wnuków, dla Warszawy, dla biednych, przyzwyczajonych w nim dostawać jałmużnę od trzydziestu lat...

Podniósł głos i kończył:

— Gdy wrócę, jeśli wrócę, to już firma będzie po wstrząśnieniach, po febrze... wtedy zajmę się likwidacyą ruchomości Bernarda, wtedy odzyskam kredyt i wycofam... te torby! bo domyślasz się, żebym skonał siedząc tu, bez zawartości ich powróconej do kasy, z której wyszły przed chwilą.

Objął się za głowę i zawołał:

— Ah! ta gadzina! Gdyby jej znaczenie piekielne mogła pojąć Irena...

Nagle się przestraszył.

— Ale o tem nigdy wiedzieć nie może. To, to, to, ty jeden uniesiesz ze sobą do grobu.

Bywalski nawet nie kiwnął głową. Olbrzym ten, jakim mu się wydawał Jakób, paraliżował mu myśl, ruchy, przytomność.

W swych pojęciach najstalszych, w swych wyobrażeniach i ideach, w swych zapatrywaniach i poglądach, czuł się radykalnie zachwiany, pierwszy raz wyrwany z pospolitych torów, któremi wraz z większością ludzkości szedł.

I czy on miał słuszność wtedy, gdy go jeszcze

nie zahypnotyzował Jakób, czy tenże właściwie rozumiał środki i cele, tego nie wiedział.

I nie wiedział, czy Jakób Appelstein był olbrzymem w tej chwili, czy tylko pospolitym, chciwym nieskazitelności firmy, bankierem.

EPILOG I PROLOG.

XV.

Minął rok.

Irena mieszkała we Lwowie. Okoliczność, że Jesiołowscy we wschodniej Galicyi mieli swoją siedzibę, przyczyniała się do umożliwienia młodej kobiecie życia w tak odmiennych warunkach.

Pani Appelstein wypiękniała tą pięknością dojrzałego owocu, który już zaznał ostatnich skwarnych dni lata i pierwszych podmuchów wiatru i zimna, mającej nadejść jesieni. Straszne cierpienia, zawody, rozczarowania, trwogi, wyrywszy swe piętna na tem obliczu, okrasiły je nowym, dojrzałego ziarna blaskiem.

Twarzyczka Ireny, której w Warszawie zazdrosne kobiety zarzucały brak głębszego wyrazu, a zby-

tek rozbawienia i wesołość, zmieniła się do nie poznania w przeciwnym kierunku. Wyraz pełen refleksyi, zadumy, melancholii chwilami aż przykrej, stawał się stałym gościem jej oblicza. Zyskiwała na tem kobieta, choć traciła dawna Irena.

Bo też to była już inna Irena, nie żadna „*M-me Bernard*,“ tylko kobieta, która wychyliła do dna kielich, jaki nam przeznaczenie najczęściej jeszcze w pierwszej młodości wychylać każe. Nektar to cierpki, gorzki, smakiem wstrętny, który jednakże nas zaprawia do przyszłości, po którego wypiciu dopiero jesteśmy uzbrojeni do wytrwania w zapasach życiowych, do zrozumienia życia, jakiem ono jest, a nie jakiem nam się zdawało, że być musi, czy może.

Tym życiowym nektarem była ruina Appelsteinów, która tak silne na kobiecie wywarła wrażenie, że się stała jej straszną zmorą. Nie raz, nie dziesięć razy budziła się odtą, cała w potach, i zrywała z pościeli i rozglądała dokoła siebie, by uwierzyć, że to bankructwo już było faktem spełnionym, a nie do spełnienia jutro. Nie raz śniła, że wynoszono meble z pałacu Appelsteina, to że ją lud ścigał, jadącą w *coupé*, na gumowych kołach, szyderstwem i obelgą, to że jej zdzierano z szyi na balu szmaragdy i rubiny.

Potrzebowała czasu, by się połapać. A gdy się przekonała, że była we Lwowie, z bankructwem po za sobą, oddychała głęboko i niemal się cieszyła. Te sny są zwykle na całe życie naszemi zmorami, przenoszą-

cemi nas w trwogi, wyryte najsilniejszem dłutem, bo młodocianej wyobraźni.

Zwierzyła się z nich Bywalskiemu, który w odpowiedzi przyznał się, że go często jeszcze trapi zmora, przenosząca go w epokę, w której będąc studentem truchlał przed egzaminem. Oh! gdyby jej zmora polegała na trwodze nie zdania egzaminu!

Po każdym takim śnie wpadała w rozpacz, by się nie powtórzył. Zdawało się jej, iż cierpiała więcej niż w rzeczywistości, gdy na jawie przeżywała te chwile. I nazajutrz po takiej nocy połykała przed snem dawkę morfiny, aby się zabezpieczyć przeciw tej lekkości snu, sprowadzającej, jak doktór twierdził, równie wyraziste halucynacye.

Jakżeby była jeszcze szczęśliwą, szczęśliwą z chorym Bernardem, w skromnym bycie, gdyby nie te sny...

Czy sny tylko?

Wszakże sny tylko, bo zresztą o przeszłości nie myślała, odpędzała jej wspomnienia i nie żałowała jej, ilekroć razy sobie przypomniała ten ostatni tydzień przed tym obiadem, ten pobyt w Kaltenleitgeben, ten wjazd do Warszawy, tę bytność kilkodniową i ostatnią w pałacu...

Ten pałac jednakże był śliczny i spędziła w nim niejedną upajającą chwilę, może najwięcej odpowiadającą jej istocie...

Ręką sobie dopomagała, poruszając nią przed oczyma, by rozpędzić widziadła.

To był sen, cały ten przeciąg sześcioletni życia,

sen! — a rzeczywistością był tylko finał, bo ten jeden pamiętała cały, jak długi, godzina po godzinie, minuta po minucie, w każdym szczególe, w każdym drobiazgu.

Wszakże teraz może jej było lepiej, podobniej do tego, w czem wzrosła, do atmosfery uczciwego dostatku.

Mieli zapewnionej renty dwanaście tysięcy złotych, zapewnionej od chwili, w której Jakób Appelstein w pół roku po strasznym paroksyzmie zatelegrafował:

„Firma ocalona.“

Ten telegram nie sprawił jej żadnego wrażenia. Po co go puszczał Jakób? wiedząc, że go Bernard nie zrozumie, ona nie...

Nie wiedziała dlaczego, ale jej to zdawało się obojętnem, czy w Warszawie istnieć będzie dom bankowy pod firmą „Appelstein i Syn“ z Jakóbem, jako reprezentantem.

A czasami, w ciemności bezsennej nocy, gdy wyobraźnia, podniecona brakiem pokarmu i dystrakcyi, zadaje nam tortury swemi pytaniami i wątpliwościami, pytała Irena, czy Jakób nie nadużył choroby brata, czy cały ten upadek, wypędzający ją na zawsze z małych Tuileryi, wyzuwający ją z jej ruchomości, ogołacający ją z jej królewskich kosztowności, spychający ją z błyskotliwego, pierwszorzędnego, ziejącego światłem i blaskiem stanowiska, na ponure tyły gmachu społecznego, nie był—podstępem szwagra?

I wtedy nie wiedziała i badać nie chciała, jakie to uczucie buchało jej krwią do twarzy, napełniało żyły i arterye gorączką, podnosiło z pościeli i kazało szukać kropli laudanum lub kojącej wspomnienia i ich żale, morfiny.

Bo przecież tak znów nie żałowała tej przeszłości, która jej tylko kłamliwem i fałszywem światłem oświecała świat i ludzi.

Cóż więc to było? Czyżby jeszcze nie wdrożyła się w to nowe życie? życie dla Lulu i chorego męża, życie przeciętne i to jeszcze hojniej uposażonych?

Ona nawet nie miała wrażenia, że zmieniła życie. Jeszcze się w nie nie w drożyła najwidoczniej. Jeszcze nie mogła zanalizować różnicy między przeszłością a teraźniejszością.

Bo czyż była różnica?

Czyż mogły stanowić różnicę okoliczności, polegające na mniejszych dochodach, na mniejszym apartamencie, na mniejszej ilości kamieni, na sukniach z Wiednia, a nie Paryża, nie od Woorth'a?

A przecież, zalatywały ją czasem nieuchwytne wonie tak odmiennej atmosfery...

Raz, a było to w rok po osiedleniu się we Lwowie, w rok po zamknięciu się tak smutnem, iż nikogo prawie nie widziała.

Bywalski przybył ją odwiedzić i wypalił ogromne kazanie na tle niestosowności, by młoda kobieta do tego stopnia się odosobniła i żyła w przeszłości, by nie-

usiłowała się rozerwać i stworzyć sobie nowy świat... nowe życie.

Nie rozumiała prawie, co on chciał od niej i co miał na myśli. Wszakże nie mogła rzucić się w wir świata po takich moralnych wstrząśnieniach.

A nowe życie? dlaczego? jakie i zkąd nowe?

Gdy ochłonie, gdy się oswoi z myślą, że Bernard jest chorym, gdy zrozumie egzystencyę o dwunastu tysiącach renty, gdy pojmie jak Luccaniego może doskonale zastąpić zwykły kamerdyner, a stół proszonego obiadu oświetlać dwunastu nie stu świecami... to zapewne rozpocznie dalej żyć...

Ale właśnie tego dnia Mierzwiński dawał koncert we Lwowie. Mierzwiński, Warszawianin, którego ona zbiegiem okoliczności nie słyszała, a którego kochała tem rodzimem uczuciem pewnych artystycznych dusz, dających się porywać sztuce.

— Pani Ireno!—zapytał Bywalski—a gdybyśmy dziś poszli na Mierzwińskiego?

Irena zamyśliła się: „Iść na Mierzwińskiego.“ Ten zwrot słów ją zastanowił. Pierwszy raz go słyszała i zadumała się nad uplastycznieniem sobie tego wyrażenia.

Dawniej to znaczyło tyle: wielki obiad proszony, na który się kładło nową suknię za dwa tysiące franków i brylantów za sto tysięcy rubli. Z obiadu przyjeżdżało się z szumem od szampana w głowie do sali Ratuszowej, gdzie pierwsze rzędy zajmowała śmietanka *high lifu*. Potem wyjeżdżało się chwilę

przed końcem koncertu do siebie, aby przyjąć pół sali koncertowej i samego Mierzwińskiego w pałacu Appelsteina.

Tak było, gdy ostatni raz bawił w Warszawie Reszke, który najpiękniej śpiewał po północy u niej, dla niej, podniecony więcej atmosferą salonu przepełnionego wybornym kwiatem społeczeństwa polskiego, niż sali, mieszczącej kilka tysięcy widzów.

To znaczyło „słyszeć Reszkego.“ Ale co znaczyło we Lwowie teraz „iść na Mierzwińskiego?“

— Chodźmy! Ale miejsca...

— Wystaram się. No, nie w pierwszym rzędzie, ale... usłyszymy...

— Chodźmy... Dobrą pan masz myśl... Ja tak śpiew lubię.

W kilka godzin później słuchała koncertu i było jej bardzo dobrze i bardzo wdzięczną była Bywalskiemu za ten projekt.

W gronie eleganckiego świata, w zapachach wyrafinowanych i dyskretnych perfum, w otoczeniu twarzy obcych, ale pokrewnych arystokratycznością fizyognomii i manier, języka i spojrzenia, toalet i karet, odżywała kobieta *par excellence* światowa, salonowa, dawna królowa tańców hr. Ka..... późniejsza *J. Reine* hrabiego Mikołaja.

Nie byłaby kobietą, nie byłaby M-me Bernard, gdyby tu, w tej sali, w której sobie śmietanka lwowskiego towarzystwa dała *rendez-vous*, dała się wyłącznie opanować Mierzwińskiemu.

Rozglądała się po tym tłumie ludzi, w których gronie żyć miała, może zawsze, pod których okiem miała wzrastać Lulu, w których salonach miała w świat wchodzić.

Ten świat jej się podobał. Szczegół, że nie zabarwiała go żadna przymieszka semickiego typu, uderzył ją tak sil ie, iż na razie się przestraszyła tą różnicą, mogącą być i głębszą i zasadzać się nie na typie tylko.

Więc mu się baczniej przyglądała.

Nie! to był ten sam świat. Tak samo mówił, z tym charakterystycznym wyrazem, zdradzającym myśli nie idące w parze ze słowami, tak samo się uśmiechał, to na komendę, to dla pokrycia kurczów twarzy, po którychby obserwator mógł odgadnąć to, co miało zostać ukrytem. Spotykała tu wszystkie cechy warszawskiego świata, o ile to towarzystwo zbadać mogła z tego krótkiego przeglądu fizyognomii. Były one te same, z tem zmęczeniem i apatyą u mężczyzn, z tem sztucznem rozbawieniem u kobiet. A ucieszyła się konstatując w tem gronie jakby odrobinę więcej naturalności, swobody, a mniej pozy, mniej zbytku, mniej elegancyi i tej prorepopei toalet i kosztowności. Jej brylanty w uszach, jej małe brylanty, bo wielkie zabrał Jakób, które zajmowały w Warszawie drugorzędne miejsce, których zresztą nigdy tam do światła nie kładła, robiły tu wrażenie, ściągały ciekawy wzrok kobiet i może dzięki im, niejeden się o nią pytał.

To towarzystwo czyste, jednego typu, bez tej

oryentalnej przymieszki, z którą się nigdy i w Warszawie, wychowana na wsi, oswoić nie mogła, podobało się jej.

Nie znała nikogo, a więcej się czuła u siebie, niż tam nieraz w gronie najlepszych przyjaciół.

— Wie pan—zagadnęła Bywalskiego, opuszczając lornetkę, tę słynną lornetkę, którą zastała na poręczy loży, będąc zaręczoną z Bernardem—ten świat mi się podoba... Żeby też choć znaleźć jednego takiego Kohna... Kinszteina...

— To zupełnie odmienny, inny świat — odparł Bywalski.

— A mnie się wydaje taki sam...

— Zapewne. Świat, ten świat jest na całym świecie takim, ale są znaczne różnice... taki sam pozornie. A szczególnie zastosować to można do świata galicyjskiego. Powiedz pani, że świat warszawski i paryski jest taki sam, *à la bonne heure*, ale świat lwowski...

— Nie może być.

— Zobaczysz pani...

Wreszcie koncert się skończył. Wychodzono tłumnie. W tłoku, zmierzając ku wyjściu dzięki swemu wzrostowi, Irena zauważyła kobietę, którą znała Była to młoda, strojna dama. Na głowie miała diadem z brylantów, tworzący hrabiowską koronę o puklach jasnych blond włosów. Nagle w westibulu wysunęła się z tłumu, ku schodom zmierzającego i otoczona kilku mężczyznami stanęła na boku, tuż przy wejściu na schody.

Wtedy ją Irena poznała. Była to jej rówieśniczka, bywająca razem z nią tej zimy, rozstrzygającej o jej losie w świecie warszawskim, panna Kileniecka, która wyszła za hrabiego Barwałdzkiego.

Irena musiała przejść tuż koło niej i uśmiechnęła się, poznając ją, zanim jej dłoń miała i mogła podać.

Ale hrabina Barwałdzka patrząc jej prosto w oczy, nie drgnęła ani jednym muskułem, zdradzającym że ją poznaje.

Irena więc postanowiła się z nią nie witać. Ale dziwnem jej się wydało, by ona mogła być po latach pięciu niepoznaną, ona, Irena?

Zdawało się jej to prawie nieprawdopodobnem. Ale...

Minęła hrabinę, ale tuż za nią za załomem, jaki tworzyła ściana, dająca początek schodom, musiała przystanąć, by zaczekać na Bywalskiego.

I wtedy, niewidziana przez panią Barwałdzką, wysłuchała następującej rozmowy, jaką ta prowadziła z obcym jej młodym męskim głosem:

— Ta pani w tych dużych brylantach, miała minę, jakby panią znała?

— Znałam ją — odparła zimnym grobowym, dobrze Irenie znanym głosem kobieta.

— Któż to? *vous m'intriguez*, a ładna i interesująca osoba *et très distinguée*.

— To pani Ap... Aps... Afl... ah! daj mi pokój, niewiem!

— Nosi tak oryginalne nazwisko?

— Daj mi pan pokój, to jakieś zbankrutowane *steiny* z Warszawy. Znałam ją panną...

Irena słuchała, serce jej tylko prędzej biło. Więcej nie słyszała, konwersacya za ścianą na tem się urwała. Irenie w mózgu, w sercu, w duszy, coś dziwnego się stało.

I pierwszy raz, pierwszy raz wtedy, uczuła wrażenie, jakby temi schodami właśnie miała iść, wchodzić w nowe, nieznane, a srogie życie.

Pierwszy raz od chwili katastrofy, uczuła się obcą w nowem życiu.

Bywalski się znalazł, a podając jej ramię, zapytał:

— Co pani? Jesteś blada...

— Ah!

KONIEC. *)

*) Dalszy ciąg tej powieści wyjdzie pod tytułem „Drugie życie Pani Appelstein.“

Tegoż samego autora

wyszły następujące dzieła:

			Rs.	kop.
Dzisiejsze małżeństwa.	1	tom	1	80
Jeszcze małżeństwa.	1	„	1	80
Wilma	1	„	1	80
Hrabia-Starosta	2	„	3	60
Jędrzek.	1	„	1	20
Linoskoczka.	1	„	2	40
Wczorajsi, Serya I.	1	„	1	50
Wczorajsi, Serya II, 1896	1	„	1	50
Nokturn Szopena.	1	„	1	20
Tajemnica	1	„	1	20
Z różnych pułków.	2	„	2	40
Zięciowie domu Kohn et C-ie II wydanie . .	2	„	3	—
Nera Polacca, 1895	1	„	2	—
Swąt, 1895.	1	„	1	80
Hrabina, 1895	1	„	2	—
Aktorka, 1896.	1	„	2	—
High-life,-Doktor, 1896.	1	„	2	—
Przy naszych dworach, 1895.	1	„	2	—
Rezydenci, 1896	1	„	2	—
Ostatni, 1896	1	„	2	—
Historyczne To i Owo 1896	1	„	2	—
Niedyskrecya 1896	1	„	2	—
Panna Starzyńska 1896.	1	„	2	—
Odrębna istota 1896	1	„	2	—

POD PRASĄ:

Kaprys hrabianki.
Chłop.
Portret.
Parafianka.

Skład główny u G. Centnerszwera,

Warszawa, Marszałkowska 143.